

PARTIA UROCZYŚCIE OBWIESZCZA

Oto miasto, oto bohaterowie akcesorialni, którzy pokazują goręcy upadek i poniżenia człowieka; „wiatr północny dyszy śmiertelnym zimnem w ciemne okna domów”, ulicą przebiega człowiek z wiaderkiem i pędzlem, nalepia coraz to nowe kartki dekretów... rangi, odznaczenia, pensje, o „cerskie epolety, litera „lat“, Bóg, własność i samo prawo życia według własnego widzimisie — zniesione. „Nie mamy już ojczyzny”, powiada Wadim Roszczin, „jest tylko miejsce, gdzie kiedyś była ojczyzna”. Piotr Wielki wyrąbał

Rosji okno na Europę, co teraz z tym oknem, kto strzeże, i dlaczego, do kogo? „Było imperium, jego mechanizm pracował zrozumiale i dokładnie... Ktoś w góry miał z tego życiowe rozkosze... I nagle wszystko się rozleciało w gruzy — zamiast cesarstwa powstało poruszone mrowisko”. Wadim Roszczin w jednym obozie, Iwan Telegin w drugim, żona przeciwko mężowi, brat przeciwko bratu, ludzie miotają się jak ptaki w klatkach, życie jest pełne wahań i wątpliwości, to jest gorsza męka niż utrata banków, krystalowych music-

hallów, knajp, gdzie ludzie ośzalałają się muzyką, odbiciem luster, półnagimi kobietami, światłem, szampanem. Jaką drogę wybrać, dokąd iść? Nie dla wszystkich od początku wszystko było jasne. Człowiek z wiaderkiem i pędzlem nalepia nowe dekryty, garść owsa zamiast porcji chleba, ale cóż to znaczy, tenże do niedawna akcesorialny bohater, liszniej czelowiek, powiada, będziemy przebudowywać świat dla dobra, kości rzucone! Wadim Roszczin przechodzi na stronę czerwonych, władza radziecka zwycięża, pisarz po-

wraca z emigracji, pisze, czy rzeczywiście Rosja jest pustynią, cmentarzem, białą plamą? Pisarz widzi miliony ludzi, „którzy przeżyli cierpką goręć cierpienia i nie oddali ziemi na zmarnowanie, a duszy we władzę mroku. Niech będzie błogosławione imię twoje Ziemio Rosyjska! „W trzech wodach topili, w trzech kruzach kąpali, w trzech ługach warzyli, czystsi jesteśmy od najczystszych”. Człowiek, który rozlepił

Dalszy ciąg
na str. 2



Jezioro Sevan

JEZIORO SPEŁNIONEJ NADZIEI

Tekst i zdjęcia
IGOR SIKIRYCKI

Samolot, który miał mnie dowieźć do stolicy Armenii, wystartował z lotniska w Adlerze na Krymie z dwugodzinnym opóźnieniem. Pogoda była fatalna. Od strony morza dał porywisty wiatr, wprowadził niezbyt chłodny, ale wlokący ze sobą ogromne ciężkie chmury, z których deszcz spływał strumieniami.

Jeszcze na godzinę przed odlotem poinformowano pasażerów, że nad Gruzją, przez którą prowadzi nasza trasa, przewalił się huragan łamiąc tysiące drzew, a nad Małym Kaukazem szaleje burza.

działani wojennych. Nad kabiną pilotów zgasło czerwone światełko — wyraźny znak, że można już rozpląć pasy ochronne i sięgnąć po papierosa.

W parę minut później gęsta pokrywa chmur urwała się nagle jak przecięta nożem, a w dole, jak w cudownym

Dokończenie
na str.
5



W Hanowerze, na placu Jerzego, październikowe słońce grzeje jak w sierpniu. Stąd piętnaście minut jazdy autobusem do dzielnicy Mittelfeld, o której przeczytacie w poniższym reportażu

JERZY ŁAŃCUT

NIEDYSKRETNIE REWIZJONIŚCI i dyskretna Bundeswehra

KORRESPONDENCJA
WŁASNA Z NRF

„HANOWERSKIE
ROZMYSLANIA”

Według oficjalnego wydawnictwa „VEB Hermann Haack” w Gotha (1961) stan ludności w NRF — bez mieszkańców zachodniego Berlina — wynosił w dniu 31. XII. 1959 r. ponad 53 miliony osób. W liczbie tej — wg. urzędowych statystyk — stanowiło około 24 proc. stanowić ma niemiecka ludność napływowa „ze wschodu”. Nie bierz — rzecz jasna — żadnej odpowiedzialności za tę bolesną statystykę. Natomiast już na własną odpowiedzialność wy-

liczam tym razem, że prawie co czwarty mieszkaniec Niemiec zachodnich miałby pochodzić... ze wschodu! Rząd adenauerski wyraźnie musi odczuwać brak w swym zespole takiego mistrza propagandy, jakim był Goebbels. Ten przynajmniej umiał liczyć...

Tę małą dygresję statystyczno-filozoficzną urozmaicę sobie spacer po Hanowerze. O tym mieście wiedziałem niewiele. Tyle, że ma ponad pół miliona mieszkańców, że jest stolicą Dolnej Saksonii, że jest ośrodkiem przemysłu gumowego (opony „Continental”), że jest miejscem dorocznych spotkań światowej gospodarki (Międzynarodowe Targi Hanowerskie od 29. IV do 8. V.). Wiedziałem też, że w tym mieście znajdują się duże, filialne zakłady Volsk-

wagena i że jest tu, w Hanowerze, wielkie osiedle, którego większość mieszkańców stanowią wysiedleńcy ze Śląska. Skierowałem więc swe kroki do dzielnicy Mittelfeld.

Chodziłem po Mittelfeldzie, rozmawiałem z tymi i owymi, byłem w kilku mieszkaniach, wysłuchałem starych i młodych. Wysiedleńcy mieszkają w ładnych, komfortowych domach, niektórym powodzi się lepiej niż przed wojną.

Większość nabrała miejskich manier, naczaj — po miejsku — chodzą ubrani. Starsi mówili o Śląsku z lekką sentymentalnością. Pytali jak tam jest teraz, sprawdzali czy ulice Zabrze lub Gliwice noszą te same nazwy, wspominali dawne, zasiedziały miejsca. W ich słowach czuło się

czasem tłumione westchnienie.

Młodzi byli raczej wyuzdani z jakiegokolwiek ciężaru do powrotu na polską Ziemię Zachodnią. Po prostu zrosli się już z rdzenną ludnością NRF, wżenili się w stare rodziny niemieckie. Oni — mimo całej i to bardzo ofensywnej propagandy oficjalnych działaczy rewizjonistycznych i od-

Dalszy
ciąg
na str. 8



Fot. Fr. Myszkowski

Znakomita aktorka Hanna Bedryńska gra rolę Małgorzaty w przygotowanym przez „Teatr 50 krzeseł” przedstawieniu „Fausta”. Recenzję z tego spektaklu zamieszczamy wewnątrz numeru

ROZMOWA ODGŁOSÓW Z:

dr Zygmunt Latoszewskim

O:

- ★ sytuacji operowej Łodzi
- ★ kategorię imperatywy dyrygenta
- ★ anachronizmach w sztuce
- ★ społecznej i artystycznej funkcji opery

— Z dniem 1 października br. objął Pan kierownictwo Opery Łódzkiej. Nie muszę podkreślać jakie nadzieje wiążą z tym faktem łódzcy melomani, którym dobrze jest znane pańskie nazwisko jako wybitnego dyrygenta i organizatora. Ze wspomnę tu chociażby założoną przez Pana Operę Baletową na Wybrzeżu, która w okresie 11 lat istnienia pod Pana kierownictwem zyskała sobie zasłużoną rangę, czy pierwsze spektakle operowe w wyzwolonej Warszawie. Przez ten cały czas był Pan również dyrygentem w tych operach, nie mówiąc już o tym, że Operę Poznańską prowadził Pan jeszcze przed wojną.

Czy wolno wiedzieć, jakie łaskawe pogi sprowadziły Pana do naszego miasta?

— Zaczęło się właściwie bardzo prozaicznie. Od trudności dojazdowo-mieszkaniowych.

— Czy nie zechciałby Pan Dyrektor wyjaśnić to bardziej szczegółowo?

— Po prostu wieloletnie dojazdy z Warszawy do Gdańska zaczęły mi nie tylko poważnie dokuczać, ale i

przeszkadzać w pracy w operach tych dwóch tak oddalonych od siebie miast. Skoro więc otrzymałem propozycję z Łodzi przystąpiłem do niej chętnie. Tym chętniej, że dobiegająca końca budowa nowego gmachu Łódzkiego Teatru Narodowego otwiera przed Operą Łódzką szerokie horyzonty.

— Czy nie należałoby to nazwać raczej poważnymi i niełatwymi zadaniami?

— Powiedzmy otwarcie. Są to zadania trudne, ale nie takie, których nie można byłoby pokonać. Nowy, wielki teatr operowy, jaki nibawem otrzyma Łódź wymaga zorganizowania odpowiednio wielkiego zespołu operowego, wydatnie zwiększonego w stosunku do obecnego stanu posiadania we wszystkich dziedzinach, nie mówiąc już o konieczności powołania do życia własnej, wielkiej orkiestry operowej.

Zadanie to będzie można wykonać tylko przy wydatnym poparciu władz finansowych i mieszkaniowych. Sytuacja jest w tej chwili analogiczna jak w Warszawie, gdzie buduje się nowy, gmach Teatru Wielkiego i

gdzie już w tej chwili władze zmobilizowały wszelkie środki dla zorganizowania odpowiednio wielkich zespołów artystycznych i technicznych.

— Łódzian nurtuje obawa, czy nowy gmach Teatru Narodowego nie okaże się za duży jak na możliwości i potrzeby artystyczno-musyczne tego miasta. Biorąc bowiem pod uwagę obecną frekwencję w teatrach łódzkich...

— Niezależnie od wielu przyczyn, które złożyły się



Dr Zygmunt Latoszewski
Fot. Tadeusz Link

na spadek zainteresowania sztuką teatralną w całym kraju nie ulega wątpliwości, że zagadnienie frekwencji jest zależne w poważnej mierze od warunków, w jakich może się widzieli i słuchacze odbierać utworów scenicznym. W wypadku opery mam na myśli przede wszystkim odpowiednią scenę i widownię. Można zarzykować twierdzenie, że nie tylko opera, ale także i zespoły dramatyczne w Łodzi przeżywają trudności z powodu braku odpowiednich warunków lokalowych.

— Na pewno niezbyt właściwie zrozumiałam Pana

Dyrektora. Bo przecież o poziomie teatru nie decyduje gmach...

— Nie wyłącznie, ale w pewnym stopniu. Dla opery np. warunki akustyczne i przestrzenne są wprost niezbędne. Determinują one w dużym stopniu właściwy odbiór tej sztuki. Warunki te będą mogły być zrealizowane w nowym gmachu teatru łódzkiego i opery łódzkiej. Tam dopiero będzie miejsce na wystawienie wielkości dzieł operowych, które operując masami chóru, baletu i wielkiej orkiestry muszą mieć właściwą przestrzeń.

— Mówi Pan o tych wielkich zespołach jakby już istniały. Łódź jednak nie ma tych zespołów...

— Ale będzie je miała. Musi je mieć. Jeżeli poziom artystyczny w tych przyszłych warunkach przestrzennych, jeżeli prawa do brego widowiska, które będzie technologiczną prawdą dramatyczną staną się naczelnym prawem całego zespołu, to jest pełna gwarancja takich przeżyć estetycznych i emocjonalnych ze strony słuchacza i widza, że nie zechce on z nich zrezygnować.

— Nie bierze Pan, jak widzę, pod uwagę tego, że odbiorca łódzki a warszawski czy poznański to nie to samo. Łódź nie posiada tradycji operowych a tym samym i zapotrzebowanie publiczności łódzkiej na tego rodzaju sztukę jest raczej powierzchowne.

— Nie zgodziłbym się z tak sformułowanym twierdzeniem. Publiczność nieznająca nierówna, nieuprzedzona do tej konwencji sztuki jest raczej dobrym odbiorcą. Tych wrażeń nie może ona mieć w obecnych warunkach i raczej świadczy o jej zamiłowaniu do śpiewu operowego fakt, że w dotychczasowych warunkach z opery nawet wydatnie korzysta.

Jestem przekonany, a mam

za sobą trochę doświadczenia, że osiągnięcie wysokiego poziomu przedstawień operowych w Łodzi jest możliwe. Ale warunek: tylko przy całkowitej współpracy inżynierii, dobrej scenografii i tak plastycznego wykonania wokalistyki-musycznej, że wszystkie wartości dzieła dotrą zarówno do widza jak i do słuchacza.

— Mówiliśmy o wielu aspektach warunkujących powodzenie spektaklu: inscenizacja, scenografia, własna orkiestra, teatralność przedstawienia, warunki przestrzenne... A soliści i balet? Czyżbyśmy zapomnieli o najważniejszych?

— Obecny zespół operowy jest dla potrzeb nowej sceny za mały. Będzie go trzeba znacznie zwiększyć.

— A czy z łódzkiego materiału wokalnego?

— Wątpię w to Pani. Przecież Łódź to miasto fabryczne, jest — o dziwo! — od wielu lat kuznią doskonałych głosów, które zasiliły wiele zespołów operowych w Polsce. Jest więc uzasadniona nadzieja, że wśród kształcącej się tu młodzieży spławiejszy znajdzie się niejeden talent, który wejdzie do łódzkiej opery. Nie można też wątpić, że drugi taki wielki teatr operowy w Polsce, jakim będzie Opera Łódzka, stanie się magnesem przyciągającym artystów z całego kraju.

— Co jednak będzie z baletem, z wielką orkiestrą operową? Tego przecież nie można wytrząsnąć z rękawa.

— Tak... Z baletem i z orkiestrą — trudniejsza sprawa. Łódź do tej pory nie posiada własnej szkoły baletowej, która mogłaby zasilić balet opery ani osobnej orkiestry operowej. Stworze-

Dalszy ciąg
na str. 11

PARTIA UROCZYŚCIE OBWIESZCZA

Dalszy ciąg
ze str. 1

dekrety, kończy szkołę zawodową, jest już zecerem, składa artykuły, Iwan Telegin pracuje w przemyśle na Uralsu. Katia, „niepotrzebne zwierzątko domowe” starego świata, zwalczając analfabetyzm, „bielmo zdarze z oczu, Rosja zrodziła człowieka, człowiek zażądał dla ludzi prawa stania się ludźmi”, rozumiesz, powiada Roszczi, jakiego znaczenia nabierają wszystkie nasze wysiłki, przełama krew, wszystkie nieznane nikomu, mierzące męczeńnie. W trzech wodach topili, w trzech wojnach chcieli zniszczyć, w trzech wojnach palili i mordowali, czarny pajak swastyki rozpostarł skrzydła śmierci nad światem. Miliony ludzi za drutami nie mają nawet ziarna owsa, gryzą ziemię i wysysają trawę, zecer ubiera mundur żołnierza, powiada, przebudujemy świat dla dobra. Borys Lawrow powtórnie uświadamia sobie sens rewolucji, wiadomo teraz kto strzela, dlaczego i do kogo. Znowu zaczyna się od początku, miasto wolne, ale zrujnowane, ziemia wolna, ale pokryta pociskami, Mitiassow Niekrowsa na próżno szuka żony Szury.

Gdzie szukać znaków czasu? Czy w mieście kontrastów, starym Uglezu, którego początki sięgają X wieku, gdzie obok drewnianych domów wyrastają nowe kombinaty przemysłowe? Czy w nowych osiedlach i stutysięcznych miastach na Syberii? Czy w błyszczącej Moskwie? Czy w bezkresnych utożsamieniach i stepach, świeżo przetransportowanych plugiem, na których rośnie pierwsze zboże? „Zagospodarowanie ziem nowych — to wielki triumf pracy narodu radzieckiego, triumf ten będzie wiekopomny!” Czy szukać tych znaków czasu we wskaźnikach wzrostu produkcji i dobrobytu mas pracujących? Czy w pracowniach i laboratoriach uczonych?

Czterdzieści cztery lata temu człowiek z wiaćkiem i pędem rozklejał pierwsze dekrety władzy radzieckiej. Dziś znak Kraju Rad jest umieszczony na Księżycu, polazdy kosmiczne z sierpem i młotem przecinają otchłanie kosmosu. W trzech wodach topili i nie utopili, w trzech wojnach niszczyli i nie zniszczyli, „obecnie nie imperializm, lecz socjalizm określa główny kierunek rozwoju świata”. Fale rewolucji rochochzą się z każdym dnem coraz dalej i coraz głębiej, nie tylko potomkowie Teleginów, Roszczińców, Lawrowów przeżywają na nowo sens rewolucji. Budzi się do życia cały świat, a partia na Kremlu uroczysto obwieszcza: obecne pokolenie ludzi radzieckich będzie żyć w komunizmie!

TADEUSZ PAPIER

ALEKSANDER POSTOŁOW

KSIĄŻKA

Kiedy sięgamy myślą w przeszłość, z reguły dzielimy nasze życie, a wraz z nim i historię współczesną, na czas przed wojną i po wojnie. Oczywiście, myślę o generacji, której pamięć sięga lat międzywojennych. Życie całego pokolenia, przeciętne na dwie części: kataklizm wojennym, daje asumpt do porównań, które choć często zaprawione nutką sentymentu dla lat górnych i chmurnych, przecież wydobywają na jaw dynamikę dnia dzisiejszego.

Tym razem nie zamierzam jednak wspominać lat dawnych, latnieje dziedzina życia społecznego, której zmiany choć może mniej dostrzegalne, są równie doniosłe dla naszego społeczeństwa. Mam na myśli życie kulturalne naszego kraju. Jego wyznacznikiem stało się szerokie upowszechnienie kultury. Upowszechnienie muzyki, plastyki, teatru, kina, książki — to częste tematy licznych dyskusji, rozpraw i artykułów w prasie literackiej, a nawet codziennej. Postęp techniczny, film, radio, telewizja walczy przyczyniając się ostatnio do umasowienia niektórych dziedzin sztuki, zwłaszcza tych najłatwiejszych w odbiorze, widowiskowych i słuchowiskowych. Znaczenie trudniej jest z czytelnością. Literatura bowiem nie daje gotowego widowiska ani też słuchowiska, raczej odwołuje się do wyobraźni czytelnika, wymaga bardziej twórczego, a jednocześnie bardziej intymnego obcowania z sobą. Czytelność zatem jest bardziej zaawansowanym szczeblem w

procesie upowszechnienia kultury, wymaga więcej wysiłku umysłowego i czasu. I tu właśnie — na przekór pesymistom — uderzyły mnie pewne dane, świadczące o upowszechnianiu książki w Polsce.

Grzegorz Timofiejew w swojej książce „Miłość nie zna zniechęcenia” w tonie żartobliwym opowiada o tym, jak to w latach dwudziestych młodzież szkolna i studencka wybijała w natłoku szyby w drzwiach mieszczącej się przy ulicy Andrzeja Miejskiej Biblioteki Publicznej. Może to zarówno świadczyć o gorącej czytelności wśród młodzieży przedwojennej, jak i o braku czytelników i bibliotek w naszym mieście. Traf chce, że jestem rówieśnikiem Timofiejewa i mogę dać świadectwo prawdziwe. Sam należałem do szturmujących drzwi Biblioteki „Publicznej”. To prawda, że byliśmy — jak każda zresztą młodzież — ciekawi życia i wiedzy, ale prawda jest również, że książka była dla nas nie lada atrakcją ze względu chociażby na jej cenę i małą ilość księgozbiorów publicznych. Pamiętam dobrze, jak jako chłopak przylepialem nos do szyby księgarni, chłoniąc łapczywym wzrokiem niedostępne dla mnie dzieła. Cena i towarzyszyły im niski nakład adresowały wówczas książki do wąskiego kręgu czytelników. Toteż prywatne księgozbiory, nawet u ludzi zamożnych, trafiały się rzadko. A dziś?

Wobec braku dokładnych danych (sociologowie dopiero od niedawna zajmują się badaniem czytelności w naszym kraju), posłużę się danymi, zaczerpniętymi z handlu. Oczywiście daje to tylko przybliżony obraz upowszechnienia książki, nie są to bowiem wyodrębnione zakupy bibliotek i instytucji, z drugiej strony — liczby, które podaje, nie uwzględniają

czytelniwa we wcale dużych bibliotekach. O udziale bibliotek publicznych w zakupach książek dowiadujemy się z pracy Stanisława Siedlarskiego i Krystyny Neuhüttler, ogłoszonej przez Instytut Książki i Czytelności przy Bibliotece Narodowej w 1959 r., a noszącej tytuł „Analiza zakupu i wykonywania książek w bibliotekach powszechnych w latach 1937—1958”. Na str. 3 tego dzieła znajdujemy następujące zdanie: „W 1958 r. wyprodukowano 6.142 tytuły o łącznym nakładzie 86.889.800 egzemplarzy, z czego biblioteki publiczne zakupiły 2.097.290 vol., czyli zaledwie 2,4 proc.”. Jeśli nawet założymy, że udział bibliotek w ogólnokrajowym zakupie zmienił się obe-

idzie

nie, to przecież nie w tym stopniu, by mógł odgrywać znaczącą rolę w obrocie rynkowym. Tym większe wymowy nabierają dane Składowicy Księgarskiej w Warszawie, którymi chcę się posłużyć. Przedsiębiorstwo przeze mnie wymienione rozprowadza książki przeznaczone do sprzedaży do wszystkich księgarni w kraju. Jeśli zważymy, że hurtowy obrót książkami dokonuje się na podstawie zamówień i na ryzyko księgarzy, ci zaś angażują kapitał w oparciu o znajomość miejscowych potrzeb, będziemy mogli z przytoczonych liczb wyrobić sobie pogląd na upowszechnienie książki w kraju.

Otóż w I półroczu br. księgarnie w całym kraju zakupiły książek na łączną sumę około pół miliona złotych. W stosunku do analogicznego okresu ubiegłego roku (I półrocze), obserwowujemy lekki wzrost obrotów, sięgający 2,6 proc. Ciekawe są liczby ilustrujące chłonność rynku dla poszczególnych miast i województw. Żeby nie nużyć czytelników, podaję w stosunku procentowym udział niektórych miast i województw w hurtowej sprzedaży książek za I półrocze br. (Dane Składowicy Księgarskiej w Warszawie).

W Księgarskiej w Warszawie). Na pierwszym miejscu jest oczywiście Warszawa (miasto), która partycypuje w ogólnokrajowym obrocie książkami w 13 proc., — na drugim Katowice (województwo) z 9,7 proc., na trzecim Łódź (miasto) 4,6 proc., potem Bydgoszcz (województwo) — 4,5 proc., Kraków (miasto) — 4,4 proc., i wreszcie Gdańsk (woj.) — 4,3 proc. Tak wygląda czołwka miast i województw na rynku księgarskim. Jeszcze lepiej charakteryzują chłonność rynku księgarskiego te same dane w przeliczeniu na 1 mieszkańca. W I półroczu br. Warszawa (miasto) zakupiła w hurtę książek na 1 mieszkańca za zł 68,60, Wrocław (miasto) za zł 50,67, Kraków (miasto) za zł 50,18, Poznań za zł 47,25, a na jednego mieszkańca Łódź wypadła tylko 35 zł i 96 gr. W tym zestawieniu Łódź znajdzie się dopiero na piątym miejscu.

Trochę światła na charakter czytelniwa w Polsce rzucają dane, mówiące o tym, jakie książki (z jakich dziedzin) partycypują w hurtowej sprzedaży. Tu znowu kilka danych Składowicy Księgarskiej w Warszawie. Otóż najbardziej „idzie” literatura piękna, dla dorosłych, młodzieży i dzieci, około 33,8 proc. całego obrotu. Na drugim miejscu są podręczniki szkolne, partycypujące w 18,9 proc. ogólnego o-

W ŚWIAT

brotu książkami, na trzecim miejscu książki z zakresu techniki i agrotechniki w 9,6 proc., potem wydawnictwa naukowe 7,5 proc i popularizujące naukę 3 proc. Jak już mówiłem, są to tylko dane bardzo przybliżone, niemniej pewien obraz struktury zakupów daje.

Liczby, które przytoczyłem, usposabiają optymistycznie. Świadczą one bowiem o du-

żym upowszechnieniu książki w Polsce. Jest to jednak przyrzeczmy tym liczbom bliżej, zauważymy, że proces upowszechniania książki nie przebiega w całym kraju równomiernie, z wyraźnym upośledzeniem tzw. prowincji, zwłaszcza zaś małych miasteczek i wsi. Jeśli na przykład dla Warszawy — w przeliczeniu na 1 mieszkańca — sprzeczano w I półroczu książek za 68 zł i 6 gr., to w województwie warszawskim wypadnie na 1 mieszkańca już tylko 6 zł i 29 gr. W naszym województwie wygląda to nieco lepiej, bo sprzedaż hurtowa wynosi na głowę ludność aż 21 zł i 8 gr. W zestawieniu z innymi ośrodkami wielkomiastowymi nasze miasto wypadnie również nie najlepiej (V miejsce w obrocie książkami). W ogólnym, optymistycznym obrazie upowszechnienia książki: w kraju są więc luki. Skąd się one biorą. Księgarze w miarę swoich możliwości wiedzą czynią (przynajmniej u nas w Łodzi) dla propagandy książki. Tymczasem na naszym łódzkim gruncie tylko Polskie Radio zajmuje się systematycznie propagandą czytelności. Codzienna prasa tego prawie nie dostrzega. O książkach, które ukazują się na rynku, pisze się niewiele i złątkowo. Zupełnie zaś brak działu, który informowałby czytelnika, co warto czytać z literatury pięknej, popularnonaukowej i technicznej. Łódzki Ośrodek Telewizyjny też ma i raczej dorywczo zajmuje się propagandą książki. Zbyt słabe są wysiłki zmierzające do budzenia potrzeb w środowiskach zaniedbanych. A jest to problem w naszym mieście niemały. Skoordinowane wysiłki instytucji szerzących oświatę i kulturę dałyby tu niewątpliwie większe rezultaty. Łączenie akcji oświatowej (np. odczytów TWP) z propagandą książki i mądre pomyślane kolportaż zakładowy mogą tu oddać nieocenione usługi. Sama akcja wymaga zarówno inwencji, jak i zorganizowanego wysiłku, a tego wciąż jeszcze za mało. Za mało, jeśli chcemy, by czytelność w naszym mieście rozwijała się właściwie, by Łódź — drugie co do wielkości miasto w Polsce — także i pod względem czytelności zajęła należne jej miejsce.

str. 2
odgłosy

„Dom bez okien”

„Ma to być film psychologiczny. Ma opowiadać o ludzkich sprawach i konfliktach” powiedział mi reżyser Stanisław Jędrzyka. Objazdowy cyrk, szmizowaty i prowincjonalny, którego trupa składa się ze starych, niezdolnych już właściwie do żadnego wysiłku ludzi i młodej 18-letniej dziewczyny posłużył Sciborowi-Rylskiemu, autorowi scenariusza „Dom bez okien”, do ukazania tych konfliktów. Inspektor kontrolujący poziom artystyczny objazdowych zespołów postanawia cyrk rozwiązać.

Dla ludzi, którzy całe życie spędzili w podobnych trupach, ludzi nie potrafiących nic zrobić poza pokazywaniem swoich sztuczek — zamknięcie cyrku oznacza życiową klęskę. Dyrektorowi udaje się jednak uzyskać miesięczną zwłokę. Zmianie ulec ma program, podniesiona ma być frekwencja na przedstawieniach. Jest to już któraś z rzędu próba ocieszenia cyrku. Nastroj napięcia i nerwowego podniecenia jaki powoduje wizyta inspektora rozładowuje pojawienie się młodego człowieka — Roberta. Jest on wędrownym kuglarzem, pokazującym swoje

sztuczki na jarmarkach. Cyrkownicy przyjmują go do swojego zespołu, numery pokazane przez Roberta mają odnowić i wzbogacić program.

Wyda się, że cyrk zdolna przełamać złą passę. Obecność młodego człowieka w zespole zaostrza jednak konflikty. Wybuchają one szczególnie mocno wtedy, gdy Robert zaczyna parodiować swoich kolegów. Większość z tych ludzi żyje już tylko złudzeniami. Obecność chłopaka złudzenia te rozprasza. Jego pantomima wyszydza nieporadności ich sztuki. Clown Jankowski, iluzjonista Kleberg, siłacz — Zaczek i akrobaci partelowi Karolkiewiczowie próbują z Robertem konkurować. Każdy z nich stara się precyzyjniej i lepiej wykonywać numery. Chłopak jest jednak nieublagany. Jego „krzywe lusterko” rejestruje wszystkie uchybienia. Dochodzi do nieuchronnej katastrofy. Robert musi odejść.

Jest jeszcze w filmie drugi wątek. Starzejący się dyrektor, kocha 18-letnią dziewczynę trapezistkę Teresę. Romans ten nie budzący tajemnic ani dla żony dyrektora, ani dla zespołu,

odkryty przez Roberta jest jeszcze jednym z powodów samotnego odejścia chłopca.

„Chciałbym w filmie tym pokazać nie tylko pewne motywy ludzkiej działalności, — mówi Stanisław Jędrzyka — nie tylko odkrywać konflikty psychiczne i moralne. Chciałbym by dojrzały one w specjalnej atmosferze, w specjalnym klimacie. Dlatego cyrk jest w „Domu bez okien” właściwie tylko pretekstem. Nie traktuję go widowiskowo, nie chciałbym by był tylko ozdobą filmu. Widowisku wyznaczyłem specjalną rolę. Ma służyć za punkt wyjścia, za podbudowę. Na jego tle sprawy, o które mi w filmie chodzi, nabierają specjalnie ostrych konturów. Cyrk zmienia w tej chwili zasadniczo swój charakter. Przechodzi z roli kuglarzy, sztuką jarmarczną. Dlatego, chciałbym bronić tej sztuki, bronić ludzi, którzy ją uprawiają. „Dom bez okien” ma być także w jakiś sposób filmem o starości i filmem w jej obronie.”

Na warszawskim Targówku, w cyrku „Pik” ekipa filmu od dwóch tygodni kręci zdjęcia plenerowe. W czasie mojej obecności na planie



Danuta Szaflarska i Jan Świdorski w jednej ze scen filmu

Robert, którego w filmie Jędrzyka gra Wiesław Gołas, pokazuje cyrkowcom swoje sztuczki. Jest to ujęcie ze sceny bodaj dziesiątej — Robert naśladuje małpę. Obserwuję jeszcze próbę sceny, w której Robert i dyrektorowa schodzą z areny.

Korzystając z przerwy rozmawiam z Wiesławem Gołasem. Specjalnie dla niego został napisany scenariusz „Domu bez okien”. Jego komediowe i dramatyczne znakomite aktorstwo będzie prawdopodobnie wielkim atutem tego filmu. Wiesław Gołas mówi ze mną o tej roli z wielkim przejęciem. „Robert ma być w filmie postacią trochę zagadkową. W gruncie rzeczy niewiele wiem o jego przeszłości. W czasie akcji określa on siebie, jednak dość wyraźnie.

Ma od początku świadomość końca swojej cyrkowej przygody. W jednej z pierwszych scen filmu mówi: „I tak mnie stąd wyrzucicie”. Jest mimo wszystko człowiekiem dość złożonym. Zgodnie z życzeniem reżysera, ma to być chłopak, który dzięki swoim parodystycznym zdolnościom nie świadomie wbrew woli robi ludziom krzywdę. Te jego umiejętności stanowią jakiś wewnętrzny imperatyw „działań”.

Danuta Szaflarska grająca rolę dyrektorowej rozpoczyna rozmowę ze mną ironicznie. — „Już niemal od dziecka marzyłam by zagrać cyrkówkę”. Dyrektorowa była niegdyś świetną woltżerką. Teraz zdradzona przez męża, starzejąca się, wyczerpana ciężką pra-

cą i niepewnością losów cyrku jest rozhisteryzowaną, nieszczęśliwą kobietą. Robert stanowi w jej życiu jedyną szansę”. Dowiaduje się jeszcze, że Szaflarska opanowała szybko tresurę koni. Wszystkie zdjęcia jej woltżerskich popisów kręcone są bez dublerki.

W filmie „Dom bez okien” zobaczymy jeszcze Hankę Bielicką, Jadwigę Andrzejewską, Elżbietę Czyżewską, Józefa Konrada, Jana Świdorskiego, Tadeusza Fijewskiego, Jarosława Skuśkiego, Ziejewskiego i Płoniczkiego. Dodać trzeba, że Stanisław Jędrzyka filmem tym debiutuje w długim metrażu, dotąd był asystentem Jana Lenartowicza i Stanisława Różewicza. Operatorem „Domu bez okien” jest T. Swirta.



Wiesław Gołas w roli pantomimisty Roberta

STANISŁAW STAN-WISNIEWSKI

List z Paryża

„Ostatniego roku w Marienbadzie”

„Ostatniego roku w Marienbadzie” — film, który być może zrewolucjonizuje współczesną kinematografię. „Ostatniego roku w Marienbadzie” — pierwszy film bez reszty nowoczesny, który mimo to ogląda się nie jako interesujący eksperyment, lecz jako dojrzałe dzieło. Jest to symfonia obrazów następujących po sobie wbrew logice czasu i zdarzeń. Logika czasu? Czas? Jaki czas? Jest tylko jeden — ludzki, ten którym my żyjemy, my: ty, ja, on — każdy z osobna, w sobie, dla siebie. Czas subiektywny, bo ten inny odmierza tylko życie kalendarzy i im tylko jest ważny. (Czyż Titow nie przeżył siedemnastu zmierzchnów w ciągu jednej doby?).

W „Ostatniego roku w Marienbadzie” osiągnięto po raz pierwszy w filmie subiektywizm totalny. Tysiące ludzi ogląda spektakl — jest tyleż interpretacji. Autor prowadzi nas przez długie korytarze pałacu w Marienbadzie, gdzie wielkie lustra odbijają nasze twarze, gdzie ludzie posągi przebiegają się w czarnych zwierciadłach z marmuru. „Krzyżując się korytarze, które już kiedyś przemierzałem i gdzie jeszcze raz powracam...”. W barokowej dekoracji pałacu spotykają się on, ona, i mąż. Trójką? Ależ tak, jak najbardziej klasyczny! Trójkąt wpisany w dziwną scenerię pałacu bez okien i wielkiego parku. On spotkał ją rok temu, w Marienbadzie. A może opowiada sceny z zeszłego lata po to tylko, by ją uwieść, aby wciągnąć ją w świat swych obsesji i marzeń? Za rok, w Marienbadzie, miała się spotkać

z nim i mieli odejść razem. To może jest kłamstwo. Może to była inna kobieta. Ona nie chce przyznać się do tych wspomnień. Czy kłamie? Czy tylko się boi?

Autorzy filmu nie chcą pokazać tej historii z zewnątrz. Jesteśmy zaproszeni do wnętrza, to znaczy w pewną przestrzeń czasu, gdzie logika i chronologia nie istnieją, gdzie wszystko podlega nieprzewidywanym kaprysom wyobraźni. Jesteśmy w labiryncie wnętrza ludzkiego, odpowiednika labiryntu pałacowego; interferują tu rzeczywistość (to co się dzieje w zamku), wspomnienie odtwarzane przez niego, odrzucone lub zmieniane przez nią.

W efekcie, ona zmuszona jak zaakceptować jego sposób widzenia, odchodzi z nim, wyzwała się z labiryntu zamieszkałego przez posągi. Gdzie odchodzi? Tego nie dowiemy się nigdy. Nie ma prawdy.

Reżyserska koncepcja dokonana przez Alain Resnais i oparta na scenariuszu Robbe-Grillet jest świadectwem zawrotnej wręcz inteligencji. Po „Hiroshima moja miłość” widzieliśmy już, że ambicją tego reżysera jest uchwycenie rozrywkowej pamięci, nierealnych obrazów myśli. W tym filmie, który pokazuje jak percepcja rzeczywistości może być zmieniona przez wyobraźnię, granica między tym co jest powiedziane a tym co jest usłyszone, tym co jest pokazane, a tym co jest widziane — okazuje się subtelna i nieuchwytna.

Na stronie
4

atrakcyjny
KONKURS
MIESZANKI
FILMOWEJ



MIESZANKA
FILMOWA

odqTosy str.
3



KONKURS



3



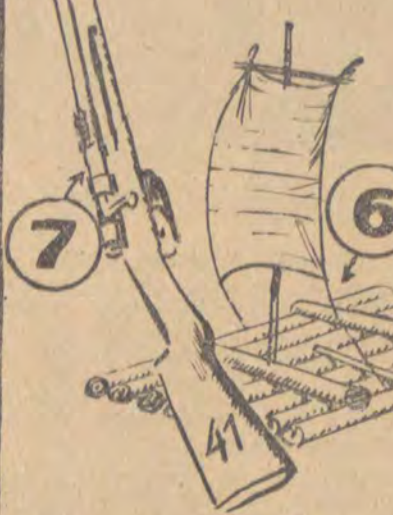
2



1



8



7



4



5

W związku z „Dniami Filmu Radzieckiego” Wojewódzki Zarząd Kin, i Centrala Wynajmu Filmów oraz redakcja „Odgłosów” ogłaszają konkurs z nagrodami. Zadaniem Czytelników jest połączenie fotosów z odpowiednimi rekwizytami i przedmiotami umieszczonymi w rysunku przez naszego grafika, a stanowiącymi charakterystyczne elementy dla postaci czy też akcji filmów, których fotosy reprodukowujemy. Warunkiem prawidłowej odpowiedzi jest także podanie pełnych ośmiu tytułów filmów prezentowanych w naszym konkursie. Np. zdjęcie A do rysunku 2.

Prawidłowe odpowiedzi należy nadsyłać na kartkach pocztowych na adres redakcji „Odgłosów” Łódź, ul. Piotrkowska 96 do dnia 20 listopada br. włącznie. Przewidziane są do rozlosowania między czytelników, którzy nadeślą prawidłowe odpowiedzi — atrakcyjne nagrody.



MARIA KORNATOWSKA

Gdy życie naśladuje sztukę

Zyjemy w epoce filmu. Zaczynamy od Disneya a kończymy na Hitchcocku. Trwamy w zacierającym się świecie magli obrazu. Ukształtuje on naszą mentalność, kulturę, obyczaje i modę. Wdziera się w nasze życie codzienne w nasz język. Zgodnie ze znanym paradoksem, życie zaczyna naśladować sztukę. Naśladujemy wygląd i sposób bycia popularnych aktorów i postaci filmowych. Powtarzamy ich gesty i słowa.

Kilka lat temu wszystkie dziewczynki kroki modzie przedstawicielki pięci nadobnej „nosily” na głowie tylko i wyłącznie „simone” — fryzury, która po raz pierwszy zademonstrowała u nas, oczywiście tylko na ekranie, Lucia Bose w roli Simony, jednej z bohaterki filmu „Rzym, gozina jedenasta”.

Ubiegłego lata przeżyliśmy irwazie fryzur ochrzczonech melancholijnym mianem „Witaj smutku” (patrz film Premingera pod tym samym tytułem). Jeszcze nie tak dawno młodzi dżentelmeni strzygli się na „fanfana”. Słowo „fanfan” przetrwało zresztą w gwarze młodzieżowo-chuli-gańskiej jako synonim „ko-zaka” — czyli „nie bądź taki fanfan i nie podskakuj”.

Podobną karierę zrobiła u

nas boska Lollobrigida u-wieczniona po wsze czasy w zwrocie „Lollobrigida dla ubogich” i szeregu pokrewnych wyrażen służących do bardziej precyzyjnego określenia wdzięków krajowych piękności.

W drugiej połowie lat czterdziestych określano pewien typ kobiety — mianem Gildy — bohaterki filmu pod tymże tytułem, granej przez sławną wówczas Rita Hayworth. Tej samej aktorce zawdzięcza się popularny termin „sexbomba”, utworzony właśnie na jej cześć. Sława Rita rozbiła się w okresie doświadczeń atomowych na Bikini. Amerykańska bomba atomowa nazwana Gildą, a gwiazdka o iście „atomowych” wdziękach francuscy dziennikarze nadali miano „Miss Bikini” i „sexbomby”. Sława rudowłosej „Damy z Szanghaju” mocno już zwle-trzała, ale pojęcie sexbomby przetrwało i bywa z powo-dzeniem używane w stosunku do jej młodszych rywalek.

W ten sposób nazwiska i imiona gwiazd filmowych lub kreowanych przez nie postaci zaczynają pełnić funkcję imion pospolicich, podobnie jak się stało z imionami bohaterów literackich np. z don-juana lub donkiszotem. Zjawisko to wykracza poza krąg faktów czysto języko-wych. Dowodzi ono bowiem, iż w wieku XX film odebrał literaturze funkcję tworzenia modeli akceptowanych i naśladowanych potem przez mi-

liony odbiorców. W dziewiętnastym wieku Europa rola się od młodych Konradów i Werterów. W naszej epoce międzynarodową karierę zrobił James Dean. To nie literacki pierwowzór — Kaleb Trask („Na wschód od Edenu”) stał się natchnieniem młodego pokolenia, ale właś-nie Kaleb-Dean.

Podobnie ma się rzecz z po-stawą Maćka Chelmieckiego, Maciek stał się swego rodzaju typem, postacią w pełni reprezentatywną dla pewnych tendencji nurtujących młode pokolenie, dopiero w swym filmowym wcieleniu. Dopiero pod wpływem filmu w nie-kórych środowiskach mło-dzieżowych stała się modna postać „Maćka-Cybulskiego”, witana zresztą na ogół z do-syć ironicznym uśmiechem, gdyż my Polanie, my lubim towar zagraniczny...

Wróćmy jednak do proble-mów z pogranicza filmu i języka. Najsilniej wpływ fil-mu przejawia się w termino-logii związanej z modą. Oto parę przykładów. I tak typ swetra jaki nosiła Joan Fon-taine w filmie „Rebeka”, szale-nie potem modny, otrzymał nazwę „rebeka”. W wielu naszych sklepach dostać mo-żna pewien szczegół damskiej garderoby noszący nazwę „bardotek”.

W tych dwóch przypadkach podobnie jak w przytoczonych wyżej (fryzury) chodzi o ten sam moment. Szczegół stroju lub wyglądu zewnę-trznego aktora lub aktorki po-doba się, staje się modny, i

jednocześnie przyjmuje się nazwa związana z osobą gwiazdy albo granej przez nią postaci. Bywa jednak i tak, zwłaszcza w krajach ka-pitałistycznych, że pewne pro-dukty z dziedziny mody, kos-metyki, a także innych asor-tymentów, chrzczone są imio-nami sław ekranu, w celach czysto rzecz jasna, reklamo-wych. I tak były perfumy „Gilda”, cukierki „Gilda”. Fiaty 500 otrzymały nazwę Topolina (włoska nazwa dis-neyowskiej Mickey Mouse), a pewien typ motocykli — ka-czorek Donald. Doszło nawet do tego, że pewien pomysło-wy rzemieślnik z Mediolanu wy-puścił na rynek nowy rodzaj filców cieplecych „Lollo”.

Do podobnych celów wy-korzystuje się również tytu-ły szczególnie popularnych filmów. I tak pojawiły się ongiś specjalne nakrycia na głowę dla skuterzystów na-zwane „Przemiętło z wiatrem” (raczej wpływ filmu niż pierwowzoru literackiego), koszule męskie w kratę a la „pojedynek w słońcu” itd. Wiele lokali rozrywkowych, restauracji, kawiarni, sklepów nosi również nazwy związane z filmem np. „Saludos ami-gos” tytuł głośnego filmu Disneya), „Samotna sosna”, „Trzy świnki”, itd. Oczywiście znowu nie u nas, ale na tzw. zachodzie. A teraz spró-bujmy sobie wyobrazić bar III kategorii „Pod ogniomis-trzem Kalenim”. Brzmie-wałe zachęcająco, prawda? Dzięki więc filmowi pow-stają nowe nazwy i określe-

nia. Wielokrotnie filmy przy-czyniają się do popularyzacji pewnych zwrotów i powie-dzeń. I tak np. sławne „c'est la vie” nie zostało wprawdzie wymyślone przez twórców „Kapelusza pana Anatola”, ale niewątpliwie dopi-ero po ukazaniu się tego filmu na ekranach znalazło się na ustach wszystkich.

Warto dodać na margine-sie, że popularne ongiś w wielu krajach hasło „Ami go home” było parafrazą tytułu znanego wszędzie filmu ame-rykańskiego „Lassie go ho-me”, („Lassie do domu”).

Osobny rozdział w tej spra-wie stanowi terminologia tech-niczna i ściśle fachowa zwią-zana z filmem i kinematogra-fią „przeciekająca” do języ-ka polocznego w funkcji prze-nośnej. Nawet „kino” nabra-ło już znaczenia przenośno-go i to ujemnego, niestety. Ale tak już jest. Wszyscy chodzą do kina i wszyscy uznają ogromną rolę filmu w życiu dzisiejszego człowie-ka. Ale też wszyscy uznają za swój obowiązek psioczyć na X muze, jak gdyby była ona odpowiedzialna za wszy-skie nasze błędy i słabości.

Zagraniczne zakupy

© Zakupiony został ame-rykański dramat psycholo-giczny „Niedobrani” („The Misfits”). Zrealizował go według scenariusza Arthura Millera twórca „Moulin Rou-ge” — reż. John Huston. Główne role grają: Marilyn Monroe oraz zmarły nieda-wno Clark Gable. W pozos-tałych rolach występują Montgomery Clift, i Eli Wal-lach.

© Historię starego czło-wieka, inwalidy, który za wszelką cenę pragnie zdobyć na własność stosunkowo dro-gi wózek inwalidzki zreali-zował hiszpański reżyser Marco Ferreri. „Wózek” zdobył nagrodę krytyki fil-mowej — FIPRESCI na Fe-stiwalu Filmowym w Wene-cji w roku 1960.

© Z filmów sensacyj-nych zakupionych przez Cen-tralę Wynajmu Filmów wy-mienić należy angielski, sze-rokoeckranowy dramat sensa-cyjny „Śmierć czyha na starce” reżyserowany przez

Charlesa Frenda. Jest to hi-storia katastrofy samolotu odrzutowego typu „Feniks”. Grają w tym filmie: Micha-el Craig, Bernard Lee, Ge-orge Sanders i Elizabeth Se-al.

© Angielsko-amerykań-skim filmem jest „Uczeń diabła”, według sztuki Ber-narda Shawa, której akcja oparta jest na wydarzeniach z 1777 roku, z okresu walk kolonistów amerykańskich z Anglikami o niepodległość. W rolach głównych ujrzymy: Burtę Lancastera („Vera Cruz”), Kirka Douglasa („Ich wielka miłość”, „Champion”) i Laurence’a Oliviera („Hamlet”, „Music-hall”).

© Na uwagę zasługuje także pełnometrażowy film dokumentalny produkcji ra-dzieckiej ukazujący walkę mieszkalców Leningradu podczas słynnego oblężenia w czasie ostatniej wojny. Ty-tuł filmu — „Pieśń Leningradu”.

A.N.

JEZIORO SPEŁNIONEJ NADZIEI

Dokończenie ze str. 1

wnym kalejdoskopie, zaczęło przesuwac się czarnomorskie wybrzeże zalane potokami słońca.

Oto Sachumi, a nieco dalej jakby w równych odstępach kilka wspaniałych górskich rzek wpadających do morza srebrnymi nitkami.

Znowu widzialność się psuje, ale na krótko. Wystarcza to jednak naszemu samolotowi, by już znaleźć się nad stolicą Gruzji. Leciemy niezbyt wysoko. Pod skrzydłami przesuwają się szachownica domów i ulic pełnych zieleni. Przez chwilę próbuję odnaleźć Aleję Rustawelego, przy której mieszkalem przed dwoma laty pracując nad korektą przekładu „Witczia w tygrysiej skórce”, ale udaje mi się tylko na ułamek sekundy zatrzymać wzrok na krętym paśmie rzeki Kury i już Tbilisi jest poza nami.

Teraz czuję wyraźnie jak serce zaczyna mi bić rytmem. I to nie tylko dlatego, że samolot wznosi się coraz wyżej jakby chciał nabrać rozpędu przed skokiem w Siemionowską Przełęcz, ale po prostu za chwilę spełni się moje marzenie. Zobacze jezioro Sewan, jedno z najpiękniejszych słodkowodnych jezior świata.

Okolo dziesięciu lat temu wpadła mi do rąk przygoda powieści armeńskiego pisarza Wachtanga Ananjan „Na brzegu Sewanu”. Ale w pamięci mojej pozostały na zawsze nie arcydzieła przygody jej bohaterów Armena, Kamo i dzładka „Broda Asatur”, lecz przede wszystkim piękne i niezwykle sugestywne opisy sewanjskiej przyrody.

Z tej właśnie księżki dowiedziałem się, że to cudowne wysokogórskie jezioro o powierzchni liczącej 1400 kilometrów kwadratowych leży w miejscu, gdzie niegdyś ciągnęła się wielka kwitnąca dolina przecięta pasmem wartkiej rzeki Zangu, spływającej z dalekich wschodnich szczytów łańcucha górskiego.

Jak więc doszło do tego, że kwitnąca dolina zalała woda?

....Otóż jedna z gór na skraju doliny była bardzo niespokojna: drżała, ryczała, a czasem dymila i wyrzucała z siebie popiół. Ludzie nazwali ją Dali-Dag, co znaczy „Wściekła góra” i oto pewnego razu góra zadrżała, zajączała, ryknęła strasznym głosem, pokryła się kłębam i parą i buchnęła w niebo językami płomieni. Rozpolała lawa, wrzuciła do wleków we wnętrzu góry, wyrwała się wreszcie i ognistym potokiem runęła w dół po jej zboczach... Lawa zalała dolinę, zagroziła drogę rzeki Zangu, splęzyla się i zastęyla. Wyjście z doliny zostało zamknięte. A reszty dokonały już rzeki i strumienie,



Droga przez Mały Kaukaz

które poprzednio zasilaly Zangu i stopniowo zatopily dolinę...

Kończąc rozmyślenia, bo oto pod lewym skrzydłem samolotu wyrasta nagle błękitny brzeg jeziora. Wydaje się przez chwilę, że i potężne góry jak gdyby zdumione od wagą i spokojem tego jeziora rozbiegły się na wszystkie strony, a potem po wojennej naradzie otoczyły Sewan kamiennym pierścieniem, wpatrując się w jego niezbadaną głębię. (W parę dni później dowiedziałem się, że głębia ta została zbadana przez archeologów i to dosyć dokładnie. Udało się im odnaleźć na dnie Sewanu stare łożysko rzeki Zangu. Odkryli również grób pierwotnego myśliwego, który został tam pochowany ze swoją prymitywną bronią i oswobodzoną kuną. Przekopując brzeg jeziora często znajdują tu szczątki ogromnych niedźwiedzi i turów zdobnych w wielkie powyginane rogi. Zdarza się również, że ścieś rybaczka wylawia gigantyczne poroża od dawna nieistniejącej już rasy jeleni olbrzymów).

Piękny jest Sewan. Pełen tajemniczego uroku, który nasstraja do rozmyślań. Ale na rozmyślenia nie ma wiele czasu. Mija kilkanaście minut i już samolot dotyka kołami powierzchni lotniska w Eriwanu. Przypadkowo

rzucam spojrzenie na przyrząd wskazujący wysokość i stwierdzam, że wskazówka zatrzymała się na podziałce tuż ponad liczbą tysiąc metrów. Czyżby przyrząd został uszkodzony? Nie, po prostu zapomniałem o tym, że Eriwan leży właśnie na tej wysokości. Ale przypomniał mi to dopiero nazajutrz główny architekt Edward Papian, w towarzystwie którego zwiedzałem stolicę Armenii.

Miasto to, liczące sobie 2750 lat nie miało szczęścia do historii jak zresztą i cała Armenia. Wielokrotnie palone i niszczone doszczętnie, w roku 1924 liczyło zaledwie 30 tysięcy mieszkańców żyjących przeważnie w warunkach niezwykle prymitywnych, czemu dają wyraz do dziś jeszcze zachowane, na szczęście nieliczne, gliniane lepianki. Edward Papian, jak przystało na głównego architekta, zakochany w swoim mieście do szaleństwa, nie miał zbyt trudnego zadania w wyborze obiektów godnych pokazania cudzoziemcom. Po prostu współczesny Eriwan — półmilionowa stolica — jest ogromnym placem budowy, na którym powstają tysiące pięknych, prostych w konstrukcji, wielopiętrowych domów mieszkalnych z brązowego kamienia zwanego tufem.

— A problem wody?

— Wody, na szczęście



Nad Sewanem

mamy w bród. Daje ją nam niewyczerpany Sewan. To stamtąd przecież spływa życiodajna rzeka Zangu, zasilając nie tylko stolicę, ale i całe ogromne obszary przybrzeżnych pól — wyjaśnił architekt.

— Nazwał pan Sewan niewyczerpanym, ale czy tak jest istotnie? — pytam swego przewodnika. — Czytałem kiedyś w prasie, że poziom jego wody obniżył się o przeszło 15 metrów?

— Tak, to prawda, ma pan rację. Poziom wody obniżył się bardzo, ale w wyniku świadomego działania. Otóż w ścianie jeziora przebito został tunel, przez który w ciągu pięćdziesięciu lat część wody spłynęła do Zangu. W ten sposób jezioro porusza będzie nie tylko elektrownię, którą zbudowaliśmy nad sewanjskim wodospadem, ale ponadto użyłni pola Armenii setkami milionów metrów sześciennych wody rocznie.

— Jednym słowem, Sewan dokonał przełomu w rozwoju gospodarczym całego kraju?

— Z pewnością tak... A o samo jezioro może pan być spokojny. Trzydzieści rzek i potoków, które spływają z wysokich gór, dostarczają Sewanowi rocznie 720 milionów metrów sześciennych wody. A rzeka Zangu zabiera z tego tylko 50 milionów. A więc wody wystarczy na pewno. Zresztą i tu w Eriwanu w najbliższym czasie zbudujemy zapórę, dzięki której powstaną 70-cio hektarowe jezioro. Taka mała filia Sewanu.

W tydzień po tej rozmowie samochód, który wiozł mnie z Armenii do Gruzji przez Przełęcz Siemionowską w Małym Kaukazie, wspinał się serpentynami na zawrotną wysokość i nagle znalazł się w ogromnej kotlinie. Przysiadłem oczy i wtedy daleko, niemal na linii horyzontu dostrzegłem błękitny zarys jeziora. To był Sewan. Tym razem wyczuwalny w chłodnym, ożywym tchnieniu wiatru i dalekim szumie fal, rozbijających się o kamieniste brzegi. W parę minut później stałem już na drewnianym pomoście wybiegającym głęboko w spokojną zatokę jeziora. Pochyliłem się nad lustrem wody tak kryształicznie czystej,

że bez trudu dostrzegłem na płaszczystym dnie stado drobnych rybek, niewiele większych od szpilki. Woda, którą podniosłem w dłoni do ust miała chłodny źródłany smak.

I nagle widok rybackich łodzi przycumowanych do pali, przypomniał mi, że wiozę ze sobą wędkę. Po chwili szedłem już w stronę pomościa, trzymając w ręku delikatną muchówkę, na którą w kraju łowią pstragi. Na pomoście kierowca przywitał mnie uśmiechem.

— Chce pan łowić na taką zabawkę? Szkoda takiej ładnej wędkę. Znam dobrze tu tejsze rybki, których sława sięga daleko poza granice naszego kraju. Nazywała się bardzo lirycznie: rumiana,

ślicznotka, albo też ryba księża, ale w praktyce są to przeważnie ryby obdarzone tak ogromną siłą, że pod jej naporem pęka najtęższa linka... Wychowałem się nad Sewanem i wiem, że czteronastokilowe sztuki wcale nie należą do rzadkości.

Uwierzyłem mu dopiero wtedy, kiedy wyznał, że sam nie jest wędkarzem... No, trudno... Tym razem wybrałem się z motyką na słońce. Może kiedyś, przy innej okazji poprobuję łowów na sprzęt bardziej odpowiedni. Tym bardziej, że chciałbym choć raz jeszcze zobaczyć piękny Sewan — jezioro spełnionej nadziei nowej szczęśliwej Armenii.

IGOR SIKIRYCKI



KARIERA ZBRODNI

DYREKTYWY Z REICHSKANZLEI (II)

Na początku roku 1938 Berlin decyduje się na Anschluss. Hitler spragniony jest Lebensraumu, poplecniocy, monopolistej ostrzy apetyty na źródła surowcowe i zakłady przemysłowe, a Reichsbank dr Hjalmar Schachta oczekuje ze zdenerwowaniem dewiz austriackich dla przyspieszenia zbrojeń. Wezwanie zaś wywiezionych i uzbrojonych dywizji państwa nadunajskiego wzmoćni potencjał armii i pozwoli na okrazenie Czechosłowacji.

W połowie lutego „zaprosił” Hitler von Schuschnigga do Berghofu, aby zalać go psychicznie.

Zadania Führera były twarde:

1. Amnestia dla skazanych w Austrii terrorystów.
2. Mianowanie przywódcy hitlerowców, Seyss-Inquarta, ministrem spraw wewnętrznych z niepodzielną władzą nad policją.
3. Natychmiastowa okupacja Austrii w przypadku nieprzyjęcia żądań.

Von Schuschnigg nie uległ jednak całkowicie bezczelnym warunkom. Po powrocie do Wiednia zamierzał poddać referendum. Referendum ustalono na 13 marca 1938 roku. Hitlerowcy Berlinia i Wiednia zaniepokoił się. Przeraziła ich perspektywa decyzji narodu.

11 marca 1938 roku wybiła godzina podboju Austrii.

W realizacji dokładnie opracowanego planu puczu stanął na przeszkodzie prezydent Austrii, Wilhelm Miklas; nie

zatwierdził na stanowisko kanclerza Austrii Seyss-Inquarta.

O godzinie 17.30 Seyss-Inquart łączy się telefonicznie z feldmarszałkiem lotnictwa.

Seyss-Inquart: Już przeszło trzy godziny oczekuję na zażwierdzenie przez Miklasa nominacji na kanclerza.

Göring: Proszę zakomunikować prezydentowi, aby natychmiast przekazał panu kanclerstwo...

Niech nasi pokażą się na ulicach... Wracając jeszcze do Miklasa, to jeśli nie mógł po-

jąć w ciągu czterech godzin, teraz zrozumie w ciągu czterech minut...

Miklas jednakże był konsekwentny.

ABMARSCH!

O godzinie 20.00 Seyss-Inquart łączy się znów telefonicznie z Göringiem.

Seyss-Inquart: Znow odmówił...

Göring: Wydaje rozkaz do wymarszu. Proszę zwrócić uwagę Austriakom, że wszelkie opór spotka się z wyrokami sądów doraźnych.

SS-owcy Wiednia przystępują do wykonania rozkazów. Bruno Weiss, de iure kierownik towarzystwa gimnastycznego „Deutscher Turnverband a de facto SS-Untersturmführer SS-Standarte 89 wydaje rozkaz SS-Hauptcharführerowi Ottonowi Skorzenyemu:

— Uchwycić Miklasa i izolować.

W kierunku pałacu prezydenta, przez wąskie uliczki dzielnicy starego miasta limuzyna Skorzeny'ego wskazuje drogę 20 drabom z SS podążających ciężarówką.

Bandyci terroryzują wartę przy bramie wejściowej, a Skorzeny z dwoma SS-mami jest już w foyer. SS-owców zatrzymuje podporucznik, dowódca warty pałacowej.

Jestem wysłannikiem nowego rządu — kłamie bezczel-

Dokończenie na str. 6

odpisy 5

TWARZE

IVO ANDRIĆ

z serbochorwackiego tłumaczyła K. Kaszyńska

Gwiaździste nieba i ludzkiej fizjonomii nigdy się człowiek doświadczyć nie napatry. Patrząc na twarz, widzimy nie człowieka, ale świat. Wszystko jest ci znane, ale nowe. Twarz to kwiat rośliny, zwanej człowiekiem. Kwiat ruchliwy, co, zmienia smiech, zachwyt i zamyślenie w wyraz olepiałej głupoty lub bezruchu martwej natury.

Twarz ludzka była dla mnie zawsze najświatlejszą i najbardziej pociągającą częścią otaczającego mnie świata. Pamiętam miasta i okolice i mogę wywołać je we wspomnieniu kiedy zechcę, i zatrzymać przed sobą jak długo zapagnę, lecz ludzkie twarze, które oglądałem we śnie i na jawie, ukazują się niezależnie ode mnie i zostają przed oczyma męcząc długo lub dotkliwie krótko, żyją obok mnie lub znikają w niewytłumaczalny sposób i na zawsze, tak, że żaden wysiłek pamięci przywołać ich nie zdola. Zdarza się, że nagle jedna jedyna i unosi się nade mną długo zasłaniając sobą cały dostrzegany świat, a zdarza się, że naderżają setki, tysiące twarzy jak górski potok, gromadząc się nad głową, ukazując się i znikając, jakby nie miały końca. Wyrzute są na nich dla mnie wszystkie ludzkie potrzeby, wszelka możliwość człowieka, to wszystko, co człowiek trzyma i podnosi, wszystko, co go truje i zabija. To wszystko, o czym człowiek marzy i co się zdarza, czego nie ma lub nie będzie, otrzymuje w twarzy swój kształt, imię i wyraz.

Pojedyńczo lub tłumnie ukazują się przede mną ludzkie twarze. Jedne zjawiają się niemo same z siebie lub z nę znanego mi powodu, inne ucieleśniają się jakby na umówiony znak, wywołane jakimś słowem lub zdaniem, które im towarzyszą.

Oto chłop w sile wieku. Praca i troska o ziemię, słońce i deszcz, śnieg i wiatr poszarpały chłopską twarz. Zaciśnięte zębów i skurec stałe powtarzane wysiłku, mrużenie i nerwowe drgania powiek, którymi oczy i mięśnie bronią się przed niemiłosiernym zarem, mrozami i zawieruchą, przeorały tę twarz. Nadejły jej kolor brązowy albo żółty, jakby nie natchnęła. Obawa przed zasadzką i zaskoczeniem, trud, by odgadnąć cudze myśli i plany, nie zdradzając przed



czasem swoich, wszystko to wyrzyło na tej twarzy swoją pieczęć. Zanim jeszcze chłop ukończył czterdziesty rok życia, jego twarz jest ukształtowana i skończona. Twarda i brunatna skóra. Widocznie zarysowane mięśnie. Wystająca grdyka i pofatdowany

kark. Oczy nie patrzą jak za młodych lat prosto przed siebie. Wszystko wyczelowane i niezależne jedno od drugiego, a nad tym wszystkim równowaga i spokój lat dojrzałych.

Dlaczego pan mnie wyrzuca? Słyszę i widzę. Widzę starą szopę. Zadymioną i zasypaną wytłocznymi i zeschniętymi pestkami, zawałona stągwią-

IVO ANDRIĆ

Ivo Andrić urodził się 10. X. 1892 r. w Travniku (Jugosławia). Tuż po jego urodzeniu rodzina przenosi się do Wyszegradu, gdzie pisarz spędził lata dzieciństwa. W chwili narodzin pisarza jego kraj rodzinny, Bośnia, zmienił wielokrotnie swoje granice. Wśród ciągłej zmiany tradycji i kultury Andrić znalazł się w świecie, który nie miał dla niego jasnych punktów odniesienia. Wychował się w domu, który był dla niego światem. Wychował się w domu, który był dla niego światem. Wychował się w domu, który był dla niego światem.

Po pierwszej wojnie światowej Andrić publikuje zbiór opowiadań „Ex Ponto” (1918), zdobywając nim od razu olbrzymią popularność. Wkrótce potem ukazuje się książka „Niepokój” (1919). Opowiadania jego, wydane przez Serbski Związek Literacki, ukazały się w trzech zbiorach: w latach 1924, 1931 i 1936. W latach 1924-1941 Ivo Andrić przebywał na placówkach dyplomatycznych w Rzymie, Bukareszcie, Madrycie, Genewie i w Berlinie. Drugą wojnę światową spędził w Belgradzie, w którym mieszka do dziś dnia.

Po wojnie poza szeregiem opowiadań Andrić wydał m. in. dwie powieści: „Most na Drinie” i „Trawnicka kronika” (obte tłumaczone na język polski). Przez długie lata pełnił funkcję prezesa Związku Pisarzy Jugosławii oraz prezesa Związku Pisarzy Serbskich. Andrić jest pierwszym jugosłowiańskim laureatem Nagrody Nobla.

mi i najróżniejszymi odpadkami, nigdy nie wietrzona. W przestronnym wejściu stoi gazda Marko. Widać tylko plecy, nogawki sukiennych czakszirów i płytkie buty tureckiego kroju.

Mam chyba sześć lat i siedzę na grubej belce z garściami pełnymi suszonych śliwek. I dzięki temu mogę widzieć małego człowieczka w połatanych, a mimo to dziurawym odzieniu. Wnioskując ze stroju i całej jego postawy, nie jest ani chłopem ani robotnikiem miejskim, ani żebrakiem, ani pomyślnem, ani w ogóle nikim, kto zajmuje określoną pozycję w społeczeństwie. I taka sama jest jego twarz, zwłaszcza twarz. Pomarszczona, szara, (jeśli w ogóle można mówić o jakimś kolorze), nie pozwala określić wieku. Nie wyraża nic, prócz potulnej głupoty. Oczy, nos, usta i podbródek — wszystko to istnieje, lecz nie ma wspólnego wyrazu, poza jednym — biedą. To nie jest choroba ani głód, ani ubóstwo, lecz wszystko razem gromadzone z pokolenia w pokolenie i zamknięte w nowym, szczególnie wyrazu biedy mającej, setki przyczyn, dla której jednak nie ma nazwy ani lekarstwa.

Gazda Marko odpowiada spokojnie i krótko. — Nie jestem dla mnie — mówi. — Nie jestem, wiem, że nie jestem — błaga w drzwiach czelczyna niższy niż ziemia, po której depejemy, zmniejszony już nie wobec gazdy Marka, lecz wobec swej odwiecznej niewyczerpanej biedy.

— Nie jestem — powtarza i zaraz jak by nie umiał powiązać dwóch najprostszych myśli i wyciągnąć z nich wniosek — dodaje:

— Dlaczego mnie pan wyrzuca? Nie pamiętam dalszego toku rozmowy. Na zawsze tak mi obaj zostali w pamięci — gazda i wyrobnik, w obramowaniu szerokich drzwi, w listopadowym wietrze, jeden odwrócony do mnie plecami i drugi z twarzą nędzą, której nie da się opisać ani zatrzymać w pamięci.

Wiele lat temu. U wybrzeży Atlantyku. Mały żołnierz nęsie na prawym ramieniu wykopany przed chwilą z piasku niewypał granatu. Nieco zgłębiony pod ciężarem, lecz młody i krzepki. Jakby niósł śmierć w ramionach, stapa lekko i najciszej, jak tylko potrafi. Stawia dziwnie drobniutki kroczki z wytworną ostrożnością, jakby chodził na linie.

I twarz, chłopiska, twarda, wyszlachetniała w tym momencie i pobladła. W tej chwilowej błądźci wyczuł można niepełnię opętany lek i bezwzględność obywatelstwa, pragnienie by spląść dług wobec życia, nie stając się jednocześnie łupem śmierci.

Wszyscy, jak wszystko co żyje, walczymy co chwila ze śmiercią. Walka ta odbija liczne i różnorodne stygmaty na ludzkich twarzach. Pełnię tej walki w jej najszlachetniejszym kształcie ujrzalem zamkniętą w twarzy żołnierza, który pełniąc swój obowiązek, ugiął się pod ciężarem niewypału.

A oto jeszcze jedna twarz. — Uchowaj Boże — ktoś powiedział. Ale nie mówił tego ta twarz, tylko jedna z otulonych w czerni kobiet, co stojąc w podwórzu szepczą przywarłszy do siebie głowami. Ta twarz nie śledzi dźwięków ani gestów. Widzę ją tylko w bezruchu i ciszy. Była aktorką i mieszkała na



jednym piętrem z nami. Miałem wówczas osiem lub dziewięć lat. Młoda i piękna pani wysyłała mnie od czasu do czasu po papierosy lub z listem na pocztę. Nagrodą był dla mnie duży pachnący cukierek z wspaniałej bombonierki i — towarzystwo aktorki. Pozwalała mi przesiadywać u siebie na niskim taboreczku z żółtego aksamitu tuż przy jej kozetce. Gdy aktorka odpoczywała zawsze na tej właśnie kozetce. Siedziałem wpatrzony z zachwytem w jej twarz, która na zawsze została w mojej pamięci. W wyrazie tej twarzy było coś sennego i nieobecnego. Oczy miała ciemne, lecz niepełne czarne. Przelewały przez nie od czasu do czasu raz szafirowo-modre a drugi raz matowo-żółte odbłyśki światła wdzierającego się niewiadomo skąd. Na mo-



ment wszystko to gasło i te jej nieco wypukłe oczy zdawały się być zgazzone i ślepe jak oczy anielicznych rzeźb.

Były to niezwykle, przepiękne, prawie nieruchome oczy, którymi nie tyle chciała patrzeć, by widzieć, ile oślepiała i zniewalała innych. Przeglądałem się im w niewinnym, dziecięcym podziwie. Ale jeszcze tego samego roku, w którym sprowadziła się do nas, pewien młody bogacz zabił ją we własnym mieszkaniu czterema kulami z małego rewolweru.

Jakieś komisje przychodziły i wychodziły, aktorkę wyniesiono do prosektorium i pochowano nie wiadomo gdzie. Kobiety w podwórku powtarzały — Uchowaj Boże! Tym, co jeszcze na długo zostało po aktorce, były jej niezwykle oczy w dziecięcym wspomnieniu.

I tak ciągle, jeszcze jedna twarz i jeszcze jedna. Chciałbym coś o niej powiedzieć, zatrzymać choćby na мгновение oka, ale nim je dostrzegam rozplywa się i znika. Błyskawicznie nadciągają po niej inne, odpychają się wzajemnie, przeskakują i „mieniają, wchodzą we mnie. I ja nie jestem już sobą, tylko przestrzenią bez nazwy, przez którą jak strzały na świetlną smudze, co nie ma początku ni końca, mijają w związnym tłumie ludzkie twarze. Niemy i bezkształtny gubię się w nich jak w zawierusze.

Opowiadanie ze zbioru „Lica” („Twarze”) wyd. w Zagrzebiu w 1960 r.

MARIAN
PIECHAL

SEDNO
RZECZY

Czemu toniemy?

Na razie chodzi o wodę, o płyn. Bo tonąć można także i w inny sposób, przenośny, na przykład, w beznadziejnej sytuacji albo w czyichś oczach. Ale o tym później. Teraz chodzi o ten realny sposób tonięcia. A więc czemu toniemy? Bo nie umiemy ułożyć swego stosunku do wody w sposób właściwy.

Jak to? — zapyta zdumiony czytelnik. Trzeba to więc pokrótce wyjaśnić. Właściwie człowiek, że tak powiem, jako taki nie tonie. Tonie w wodzie tylko to, co jest cięższe od wody. A człowiek jest lżejszy od wody. Człowiek, najogólniej biorąc, składa się z kości, mięśni, krwi, wody i powietrza. Ten drobny procent żelaza, siarki, soli i jeszcze kilku podobnych składników mineralnych jest tak nikły, że można go w naszym rachunku bez żadnej uchyby pominąć. Takie jest nasze ciało, dusza czy ducha w człowieku, również jego wyobraźnię, fantazję, sny, marzenia i myśli, które



mogą być w znaczeniu przenośnym lżejsze lub cięższe, ale należą do tych niemiaterialnych, imponderaliów, które choć nieodłączne od pojęcia człowieka w pełnym tego słowa znaczeniu, jednak realnie i faktycznie nie w nim nie waży. Te rzeczy w nim najważniejsze nie wcale nie ważą. Tak, że to wszystko razem w kupie zwane człowiekiem jest lżejsze od wody. A co lżejsze od wody, woda wyrzuca na swoją powierzchnię. Woda, że tak powiem, uznaje tylko hierarchie ciężaru. Gardzi wszystkim tym, co jest od niej lżejsze i wypływa to ze swego wnętrza.

Co zatem powoduje, że człowiek tonie? Powoduje to jego strach. Strach przysądza człowiekowi ciężaru, którego nie posiada. Strach powoduje, że człowiek tonie. Okazuje się, że strach, pojęcie jak najbardziej przecież abstrakcyjne, jest największym ciężarem człowieka i jak kamień pociąga go na dno. Strach waży. Waży przez to, że pozbawia człowieka rozsądku, trzeźwej oceny sytuacji, potrzebnego spokoju, aby mógł ułożyć właściwie swój realny stosunek do wody. Zaczyna niepozytalnie machać rękami i nogami, robić ciałem niepotrzebne, a zubożne w następstwie wygibasy, koziolkować się w oniemiałym żywiole głową w dół, a nogami do góry, pozbawiając się reszty rozsądku, którego opróżnione miejsce zaczyna wypełniać strach, trwoga, panika, które ważą i swym rosnącym ciężarem spychają go beznadziejnie i bezapelacyjnie na dno. A zimącony i wzburzony nagle żywioł wody uspokaja się no chwilę ponad nieszczęsnym topielcem, wyglądającym powoli na swej powierzchni zmarszczki ironicznego uśmiechu. Najcięższy w człowieku jest strach, gra w nim rolę ołowiu.

A gdyby człowiek, nie tracąc rozsądku, nie dopuścił do siebie strachu, lecz ufną w swoją lżejszość od wody położył się na niej spokojnie na znak, biorąc w płuca jak najwięcej powietrza, przechyliwszy głowę do tyłu, aby

tylko wody nie nabrać do ust — unosilby się na jej powierzchni jak ta lala. Gdy utrzymuje nas na powierzchni wody nie ruch rąk i nóg, lecz lżejszość naszego ciała, powiększona jeszcze świadomością głębokim wdychaniem powietrza do płuc, które w ten sposób stają się jakby naszymi naturalnymi pływakami czy powietrznymi balonami. Umiejętny i celowy ruch rąk i nóg służy nam jedynie do poruszania się po powierzchni lub we wnętrzu wody.

I oto cała filozofia naszego panowania nad wodą czyli utrzymywania się na jej powierzchni. Na czym ona polega? Na właściwym stosunku do niej. Brak właściwego stosunku do wody powoduje tonięcie czy też topienie się.

Czy tylko w stosunku do wody? Pomyślcie, o mili czytelnicy, czy tylko do wody? Przerzucmy tę sprawę z wody na inne zjawiska równie realne? Na przykład, na ogień, na powietrze, na energię nuklearną? A z tych realnych zjawisk przerzucmy tę sprawę na zjawiska bardziej abstrakcyjne, ale niemniej realne w skutkach, jak miłość, jak pokój, jak nienawiść, jak wojna, jak rozsa- dek, jak głupota, jak namiętność, jak rozważa, jak dobro, jak zło? Wszystko zależy od ułożenia przez nas właściwego stosunku do tych decydujących o naszym dalszym losie, a nawet życiu, zagadnień, spraw i zjawisk. A najogólniej od właściwego ułożenia naszego stosunku do życia!

Ala co robić, jak nam się ten stosunek pomimo naszej dobrej woli i świadomego wysiłku nie układa właściwie? Albo z natury rzeczy nie może ułożyć się właściwie? Na przykład, czy można właściwie ułożyć swój stosunek do nieprzewidywanego nigdy piorunu, wulkanu, wściekłego, szalu lub innego podobnego żywiołowego zjawiska, którego przewidzieć nie sposób?

Otóż tu ma się rzecz podobnie jak z tańcem lub pływaniem. Tańiec to jest właściwe ułożenie stosunku nóg do podłogi podobnie jak pływanie to właściwe ułożenie naszego ciała i jego ruchów do wody. Jeżeli zaś chcemy tańczyć nie na podłodze lecz na ogniu, a pływać nie w wodzie, lecz w powietrzu, to tym samym zdradzamy brak poczucia odpowie-



działności zasady do jej celu. Następnie zachwianie równowagi, zjawia się niepokój, strach, trwoga, panika, które nas pociągają, jak ślepy ciężar, w otchłań, na dno. Tonimy. Nie tylko w ogniu i w wodzie. W każdym żywiole, do którego nie chcieliśmy, nie mogliśmy czy też nie potrafiliśmy odnaleźć właściwego naszego stosunku.

Spójrzmy na świat i na wszystko, co się dziś wokół nas dzieje. Czy utoniemy?

odpłoty str 7

Niedyskretni rewizjoniści

Dalszy ciąg ze str. 1

welowych — mają dość określony stosunek do tego problemu. Bardzo często odpowiadali na moje dość zaskakujące pytania: „Nas to nie dotyczy, my jesteśmy tujejsi”.

Erich Foerster mieszkał w Gliwicach. I nigdy nie był spokrewniony z osławionym Foersterem. Jest starszym człowiekiem, ma ponad 60 lat i przybył do Hanoweru dziesięć lat temu. Pokazałem mu zakreślony przeze mnie fragment artykułu w „Deutsche Soldatenzeitung” (codzienna gazeta utrzymywana przez miłsterstwo pana Franza Josefa Straussa, zwanego przez prasę NRF „doktor atomis causa”).

Wydrukowany tłustą czcionką fragment ów głosił:

„Do żądań, z których nie możemy zrezygnować, należy żądanie terytorium Niemiec Wschodnich. Znajdujemy się tutaj w sytuacji tych, którzy przeżyli i których krewni zostali zabici, a własność zrabowana”.

Stary przesiedleńca dwukrotnie przytaczał ten fragment. Spojrzał na mnie badawczo, odłożył tace się cygaro na ławkę i zwracając mi gazetę, powiedział:

— Panie, niech pan nie wie rzy, że my tak mówimy.

Oni tak mówią i tak piszą. Bo z tego gadania i pisanja żyją, biorą za to pieniądze niby dla nas przeznaczony! Przyjrzyj się pan tym kierownikom rozmaitych „Verbandów” (związków). Dobrze sobie spał brzuch...

Nie była to tylko jedna, reprezentatywna wypowiedź tego rodzaju. W innych, odwiecznych przeze mnie miastach NRF, starsi ludzie spośród przesiedleńców wcale nie tęsknią do nowych wędrowek za „utraconą ziemią”. A młodzi? Ich synowie? Ci są raczej zafascynowani amerykańskim stylem życia, pasją do biznesu i samochodów, hazardu i automatów. Dobrze zjeść, dobrze się ubrać i jeszcze lepiej się zabawić — oto co zajmuje tych młodych, których próbuje się spędzać na rozmaite wiece i zgromadzenia, aby robili tłum pod rozpiętymi na wielkich rusztowaniach herbami takich „odwiecznych” niemieckich miast — jak Wrocław, Katowice, Gdańsk i... Kraków.

Ale proszę nie wyciągać zbyt pochopnych wniosków. Wcale nie jest z tą sprawą tak dobrze, jak by się mogło wydawać. Po prostu dlatego, że zawodowi rewizjoniści nie rezygnują z podżegania, skoro zobaczyli, iż wśród wysiedleńców tracą systematycznie społeczną bazę działania, rozpoczęli montować swój „aktyw” w szeregach rządzącej partii CDU. I tu znaleźli znakomitą pożyczkę odwetową. Nie za darmo. O, nie! Za pieniądze. Za 6 milionów marek rocznej dotacji dla licznych i rozmaitych „instytutów wschodnich”.

Płynięcie ta farsa z kas bońskiego rządu przede wszystkim do kieszeni „specjalistów” od rewizjonizmu dla pokrzepienia ich... dusz i dla „naukowego uzasadnienia” odwetowych dążeń wśród członków... CDU, którzy lubią

te hasła, kochają takie zgromadzenia i pieniądze...

W Hanowerze mają miejsce różne wiece odwetowe, organizuje się „spotkania śląskie” i rozlepią się afisze, których wydawcą jest wydział propagandy CDU, archydiejskiej partii archydiejskiego mistrza komiturowego Konrada Adenauera.

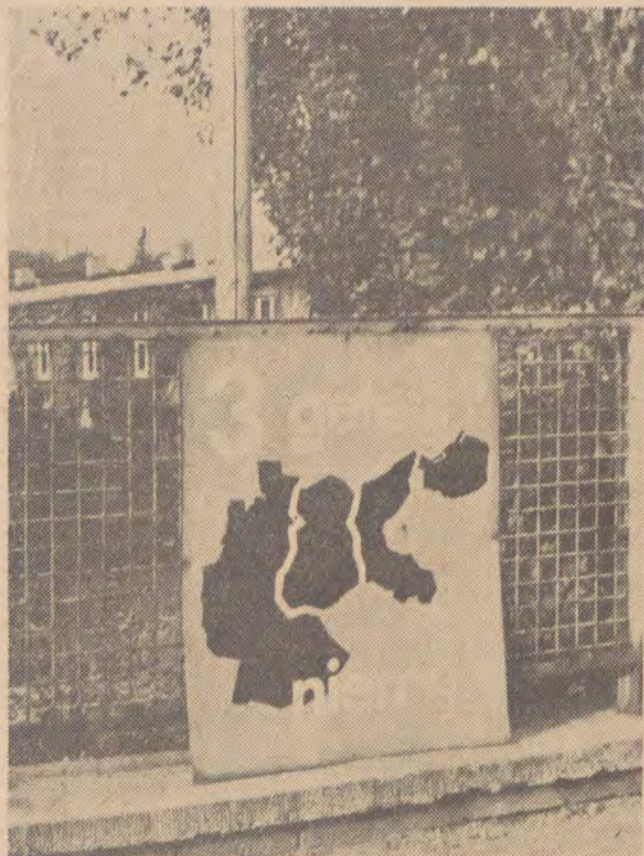
Tego, co głosi reprodukowany obok plakat nie chce znakomita większość przesiedleńców. Nawołują do tego bez przerwy wodzireje rewizjonizmu niemieckiego. Tych zaś jest jeszcze — niestety — bardzo dużo w NRF. O wiele za dużo...

BĄDZMY DYSKRETNIE, MEINE HERREN

Minister spraw wewnętrznych NRF — „Schroeder, prze mawiając niedawno na zgromadzeniu organizacji „Junge Union” w Oldenburgu, powiedział m. in. „Adenauer stał się już częścią mienia narodowego”...

A najwinniejszy palatyn kanclerza — Strauss, wzno sząc toast na ostatnim przyjęciu urodzinowym Adenauera, oświadczył: „Pragnę wypić zdrowie kanclerza w roli, w jakiej mało ludzi go zna. A mianowicie jako ojca naszej Bundeswehry”...

Ciekaw byłem spotkania z Bundeswehrowcami. Rozglądałem się za nimi w czasie mojej podróży. Widziałem ich jednak tak mało, że aż dziwilem się. Kiedyś mignęli mi na dworcu w Frankfurcie — byli to trzej żołnierze, a raz w Kolonii, obok mego stolika



„Trzykrotnie dzielone — nigdy!” — głosi plakat odwetowców, rozlepiony gęsto na ulicach Hanoweru, miasta, które odwiedza w dniach Międzynarodowych Targów Hanowerskich setki tysięcy turystów z Europy i z oceanu. Tak wygląda „pokojowa” praca propagandystów archydiejskiej partii CDU/CSU

ska, strzyżone głowy ubiorą stalowe helmy. Te helmy pasowały do nich jak ulał. Ujrzałem tych, o których Henryk Heine tak kiedyś pisał w swym poemacie „Niemcy — baśń zimowa”.

„Do dziś w ich ruchach ten prosty kąt, Leż pedantycznie zakuty, Pod każdym hełmem tępa twarz, Pełna zastygłej buty...”

Tej dyskrekcji bowiem wymaga proces tumanienia opinii publicznej nie tylko w okresie przedwyborczym czy w okresie trwających jeszcze ciągle targów o fotel kancler-

zachunek dla Amerykanów i Francuzów?.. Nie dziś za darmo, meine Herren!

Mimo wszystko propaganda na rzecz Bundeswehry jest ogromna. Gazety zamieszczają całostronicowe ogłoszenia reklamowe, w których agituje się młodych ludzi w wieku od 17 do 23 lat za wstępowaniem do wojska. Bo Bundeswehra „zapewnia wielostronne wykształcenie, wielkie szanse i solidne, zabezpieczenie materialne”.

A młodzież zachodnio-niemiecka choć czyta te ogłoszenia bez specjalnego entuzjazmu idzie do Bundeswehry. Idzie dlatego, gdyż nacjonalizm ciągle znajduje drogę do tej młodzieży. Znajduję ją również w licznych „Chrześcijańskich Domach dla młodych mężczyzn”, gdzie ta cy kaznodzieja jak K. Roschkowski w odczycie pod niewinnym tytułem „20 wiek w świetle biblijnych przepowiedni” raczy młodych słuchaczy takimi m. in. radami na utrzymanie zbawionego pokoju: „Zjednoczenie Niemiec — to pokój na świecie, zjednoczyć je można mając silną armię, nasza Bundeswehra wymaga coraz więcej ludzi, twój wybór w imię pokoju jest oczywisty — służba w Bundeswehrze!”

Któż z młodych, wierzących Niemców nie będzie ciekaw przepowiedni biblijnych na najbliższy, dziesiątek lat XX wieku?

Idą więc na takie odczyty, zapadają w ich dusze „wiesze” słowa K. Roschkowskiego. Opuuszczając zaś „Chrześcijański Dom dla młodych mężczyzn” przechodzą przez hall, w którym na stołach wyłożone są pisma Bundeswehry, „Der Ouell”, „Deutsche Soldatenzeitung”, czy „Der Freiwillige”. Te pisma można wziąć bezpłatnie. Do domu. A za tydzień, w niedzielne popołudnie przyjdą ponownie do tego chrześcijańskiego domu, w którym zgodnie z ogłoszeniem w jednym z tych czasopism wysłuchają odczytu na temat „NATO — to znaczy wolny świat”. I choć kaznodzieja będzie ktoś inny, nie ma wątpliwości, że uczyni to co najmniej tak dobrze, jak K. Roschkowski. Dobrze dla... Bundeswehry, która na razie nie chce drażnić...

Niemcy zachodnie, październik 1961 rok

JERZY LANCU

ZA TYDZIEŃ DRUGI OD CINEK REPORTAŻU Z NRF, A W NIM. „CZY ZNOW PARADEMARSCH?” — „ANKIETY O GUSTACH ESTETYCZNYCH” — „MEIN LIEBCHEN, WAS WILST DU NOCH MEHR?”



PORTRET ZYGMUNTA AUGUSTA (II)

Król Zygmunt August, urodzony w 1520 r., zmarł jako ostatni z Jagiellonów na tronie polskim w 1572 roku. Niektórzy historycy dali mu przydomek „Dojutrka”, a to z powodu jego kunktatorskiego usposobienia i odkładania na później ostatecznych decyzji (jak choćby w ważnej sprawie kontrreformacji i pogrobnienia heretyków), co zresztą przeważnie Rzeczypospolitej wychodziło na zdrowie. „Smukły, słuszny, o wzniosłym czole, kruczych włosach i melancholijnej twarzy” syn króla Zygmunta Starego i Bony Storzby był — jak twierdzi Konopczyński — jednostką o naturze bogatej, subtel-

nie równymi co do stanu. Dość do tego trzeba, że mało czując władzę ojca, niegdyś surowego, dziś podeszłym wiekiem i słabością ku jednemu synowi zbyt powolnego (Zygmunta Starego) łatwo się oddał powabom swobody, którą mu nastroczało samowładztwo w Litwie. Wkrótce młodzi panowie znający wdzięki Barbary zawiedli ku niej Augusta. Uprowadził już sławę jej piękności, potem widokiem poruszony, przy skłonieniu do rozkochania sercu, uległ zaraz czarodziejskiej mocy powabów i cały się wlepił miłości „krepował”. Ujęta piękna wojewodzina niezwyczajną uprzejmością króla i dumna zaszczytem, jaki jej przynosił hold tak znakomitego wielbiciela, tym lżej zaczęła ważyć innych westchnienia. Takie postępowanie oburzyło młodzież, lecz serce Augusta coraz silniej ku niej skłaniało. Umiała wprowadzić Barbarę dogadując miłości własnej, użyła wszystkich sidła załotności do uwikłania w nie króla, ale gdy za blizszym poznanem jego szlachetną i młodą postać, dworność obyczajów i umysł wykształcony również i na niej czulsze wrażenie sprawić zaczęła, wywiała się przedko tkliwa i wzajemna miłość. Król zapomniał gwałtowną namietnością nie tał dalej, uczuł swego serca Barbarze. Wypadły stąd tajemne schadzki, ułatwione bliskością zamku z ogrodami radziwiłłowskiego pałacu, do którego zrobiono osobne przejście. A chociaż w tak częstym na osobności dwóch kochanków widywaniu się granice przystojności i wzajemnego poważania nie były przestąpione, szmer jednak tych miłostek królewskich rozedzł się szybko po wszystkich ziemiach litewskiej i polskiej”.

nej i powikłanej. Ostatni dynasta jakich w swej psychice litewski upór z włoskim wyrafinowaniem, jagiellońska hojność i polski humanitaryzm z gospodarnością i przebiegłością Storzów. Nade wszystko jednak należy podkreślić jego emocjonalne usposobienie, pogłębione przez wyniesione z dzieciństwa nawyki królewicza, wychowywanego w środowisku niewiast i lutnistów; sprzyjało to bujnym rozkwitowi strony uczuciowej, która znalazła wyraz w romansie z piękną Barbarą Radziwiłłówną. Sprzyjało atmosferze i nawiązaniu romansu również późniejsze, hulaszcze i rozrzucone życie, uczty, maskarady i zabawy w towarzystwie wesołej kompanii, krewniaków radziwiłłowskich, których dewiza życiowa była: „konie, klejnoty i kobiety”. To wesołe towarzystwo, w skład którego wchodził stryjeczny brat Barbary Radziwiłłówny, Mikołaj zwany „Czarnym”, pośredniczyło też w zawarciu znajomości króla z jego przyszłą żoną. Tutaj oddajmy głos historykowi XIX-wiecznemu, Michałowi Bałińskiemu, który w swych „Pismach Historycznych” nawiązuje i pełnym wdzięku stylem ubiegłego stulecia tak opisuje początki znajomości królewskich kochanków: „Tymczasem młody król, śmiercią Elżbiety z małżeństwa rozwiązany, zniechęcony ku żonie w pierwszych nawet chwilach związku przez intrygi i nienawiść Bony do synowej, przedko zapomniał o smutku i żalobie. Sława piękności Barbary z ust do ust przechodząc latwiej wtenczas doszła uszu królewskich i przyniosła mu na pamięć ową nadobną wdowę, którą dwoma laty wprzód widywał między gronem pań otaczających Elżbietę. Młodzień głośnie jej pochwały przed królem łatwo zapaliła żywą imaginację młodego pana. Zyl bowiem August wtenczas jak świadek dzieje, nieco odmienniejszy obyczajów. Sam młody, udatny, więcej niż należało w miękkości wychowania, nie dźwignął się po ufałej przestawiał z rówieśnikami tak

Nie obeszło się naturalnie bez pełnych liryzmu efektów, gdy oficjalne wizyty królewskie na radziwiłłowskim dworze zmieniły się w tajemne spotkania miłosne. Zygmunt August wykazał dużo inicjatywy i polecił nawet zbudować specjalny most na Wilence, łączący zamek królewski z ogrodem radziwiłłowskim. Za wzorem króla Franciszka I, ofiarował swojej ukochanej labędzie, którą umieszczono na wyspie rzeki Wilenki.

Dawni historycy bardzo sentymentalnie opisują schadzki zakochanej pary przy księżycu, w ogrodzie otoczonym szpalierami lip i jodeł, podkreślają melancholijne usposobienie króla i marzytelność Barbary, mające jakoby wyłączać wszelką zmysłowość i namietność miłosną kochanków. Ten ogrodzony romans stał się wkrótce głośny w całym kraju i zaniepokojona królowa Bona przestrzegala listownie syna przed niebezpiecznym związkiem.

W zakończeniu poprzedniego felietonu rzuciłem pytanie, o cóż w tym wszystkim chodziło, skąd tyle krzyku i hałasu? Otóż, trzeba powiedzieć otwarcie, że powodem zgorzienia było między innymi i to, że Barbara poszła za głosem serca i nie ulekała się roli morganatycznej żony króla przed zawarciem oficjalnego związku małżeńskiego. Tak to — i chyba słusznie — ujmuje Ziembicki pisząc: „Kochanka — nalożnica — wszelecznica już przez to samo, pragnąca zasiać na jagiellońskim tronie. Czegoż trzeba więcej?”

O innych przyczynach zgorzienia i trzeciej bohaterce tragedii, królowej Bonie Storzby, w następnym felietonie.



Ten widok można spotkać na wszystkich ulicach prawie wszystkich miast NRF. Wśród potoku samochodów przewijają się często samochody z białą gwiazdą i napisem MILITARY POLICE — USA. To amerykański anioł-stróż czuwa nad „spokojem” Niemiec zachodnich

kawiarnianego usiadło dwóch lejtendantów. I to wszystko.

Wyjaśnienie przyszło w Hamburgu.

Siedzieliśmy w jednej z większych restauracji przy Augustastrasse. Było tłoczno przy barze i stolikach. Przeważali mężczyźni. Z zainteresowaniem rozglądałem się po sali, próbując odgadnąć zawód ludzi, którzy obok mnie jedli, pili i głośno rozmawiali. Peter Eisenlau, towarzyszący mi dziennikarz miejscowego tygodnika, słuchał moich domysłów i od czasu do czasu przerywał.

— Chyba nie zgadłeś, chyba nie...

— Kpisz ze mnie, czy to tylko tak z przekory zaprzeczasz?

— Człowieku, nie unoś się, posłuchaj. Przyjrzyj się tym ludziom dobrze. Gdybyś mógł od nich zażądać wylegitymowania się, okazałoby się, że co najmniej 60 proc. z nich — to wojskowi. To Bundeswehral

Przyznaję, że zaskoczyła mnie to oświadczenie. Chwilę uważnie obserwowałem grupę sztywno siedzących mężczyzn. Wyobraziłem sobie, że na swe krótko, z amerykań-

ski i urzędy ministerialne Bundesrepublik. Opinia publiczna, która mimo wszystko nie ma zbytniego sentymentu do umundurowanych z amerykańską ludzi Straussa, która czasem — jakże rzadko! — podnosi głos rozsądku przeciw nadmiernym wydatkom NRF na zbrojenia.

Do domu. A za tydzień, w niedzielne popołudnie przyjdą ponownie do tego chrześcijańskiego domu, w którym zgodnie z ogłoszeniem w jednym z tych czasopism wysłuchają odczytu na temat „NATO — to znaczy wolny świat”. I choć kaznodzieja będzie ktoś inny, nie ma wątpliwości, że uczyni to co najmniej tak dobrze, jak K. Roschkowski. Dobrze dla... Bundeswehry, która na razie nie chce drażnić...

Anglicy płacą rocznie za utrzymanie oddziałów brytyjskich w NRF — 65 milionów funtów szterlingów. Ale Niemcy zachodnie muszą się odzwyczajnić Wielkiej Brytanii odpowiednio wielkimi zamówieniami na uzbrojenie. Nowoczesne czołgi brytyjskie typu „Chieftain” przeznaczone dla Bundeswehry wyrównają ten rachunek... kosztem niemieckiego mieszczaucha. A

*) przekład — J.Jankowski

3 WYWIADY NA JEDEN TEMAT

Na jubileuszowym, 50-tym „Spotkaniu z piosenką” powiedzieli nam:

P. Tomasz Oziemski, lat 17, uczeń Technikum Odzieżowego.

Jestem stałym uczestnikiem i zagorzałym wielbicielem „Spotkań z piosenką”. Uważam, że jest to bardzo pożyteczna impreza, stwarza bowiem możliwość nauki piosenek tym, którzy nie znają nut, albo nie posiadają w domu pianina. Jest także wiele piosenek trudnych do nauczenia. Jest to również okazja do spotkań dla wszystkich miłośników piosenki. Myślę, że jest to duże pole do popisu dla tych, którzy posiadają talent śpiewaczy, a do tej pory nie mogli go wykorzystać. Bardzo dobrze, że organizatorzy przewidzieli dla zwycięzców w konkursach nagrody, to bardzo mobilizuje.

P. Zygmunt Piatkowski, sekretarz Klubu Miłośników Polskiej Piosenki przy Łódzkim Tow. Muzycznym.

Uważam, że idea jaka przyswleca „Spotkaniom” jest bardzo słuszną — na polu krzewienia kultury muzycznej i propagowania polskiej piosenki jest przecież wiele do zrobienia. Za bardzo dobry pomysł uważam wprowadzenie dodatkowych atrakcji, w postaci występów znanych aktorów — to bardzo urozmaica „Spotkania”. Mam dużo zastrzeżeń do publiczności jaka na „Spotkaniach” przychodzi. Jest naprawdę niesfora, niezdyscyplinowana. Powiedziałbym nawet, że niektóre wybrki graniczą z absolutnym brakiem kultury. Nie wiem, w



Fot. E. Kudaj

jaki sposób, ale powinno się stosować pewną selekcję przy wpuszczaniu na salę. Sporo zastrzeżeń miałbym także co do wyboru piosenek. Czyżby nie można ułożyć bardziej atrakcyjnych, przebojowych piosenek? Zestaw dotychczasowych nie jest przecież zbyt rewelacyjny.

P. Janusz Kaczorski, prawnik umysłowy.

Uczestniczę od początku w „Spotkaniach z piosenką”. Uważam tę imprezę za wielce pożyteczną, ale mam też sporo pretensji do organizatorów. Bardzo mi się podobał pan Woźniakowski podczas pierwszych „Spotkań”. Był miły, uprzejmy, bawił się z całą widownią. Trwało to jednak tylko kilka spotkań. Teraz pan Woźniakowski prowadzi imprezę, jak by go do tego zmuszano. Czy to naprawdę tak trudno nauczyć się tych kilka słów piosenki na pamięć? Publiczność traktuje lekceważąco, jakby był, nie przymierzając samym Kiepurą.

Z drugiej strony zachowanie się publiczności (części) nie zawsze jest „na poziomie”.

NASZ KOMENTARZ
Chcielibyśmy podzielić się z czytelnikami paroma uwagami jakie nasunęły się nam podczas rozmów z uczestnikami „Spotkań z piosenką”. Sprawa pierwsza — publiczność. Gros tej niesfornej, zachowującej się skandalicznie — to młodzież szkolna i przeróżne męty społeczne (nie brak również i „koników” bezpiecznie i spokojnie obliczających zarobki). Przydałby się milicjant, ale co robi specjalnie powołany w tym celu personel pedagogiczny? Klub Miłośników Polskiej Piosenki też miałby tu pole do popisu! Sprawa druga — naszym zdaniem bardzo ważna. Dane dotyczące frekwencji wskazują, że osoba pana Woźniakowskiego nie jest w stanie zapewnić sali. Potrzebne więc są atrakcyjne występy, przyciągające publiczność i umożliwiające kontynuowanie „Spotkań”. Wydaje nam się, że fundusze na ten cel można by uzyskać poprzez zainteresowanie tą imprezą rad zakładowych. Potrzeba tylko odrobiny inwencji. To wszystko. Życzymy organizatorom „Spotkań z Piosenką” następnych jubileuszy!!!

Rozmawiał: LUW

BAgetelki

Mikroreportaż

Staruszek płakał. Nic dziwnego — starość nie jest wesoła... Cóż, ach, cóż, jednak bezpośrednio nacięno gruczoły łzowe staruszka?

350 milionów miedzianych igiełek w jonosferze utrudniało obserwacje astronomiczne. Staruszek łkał przed samoobsługowym sklepem PSS.

Szlachetny średniorolny z radiowej powieści „W Jezioranach” podrywał nauczycielkę wiejską tak nieudolnie, by starczyło tematu na dalsze 57 niedzielnych odcinków. Staruszek szlochał przed „Delikatessami”.

Sierotka rodzaju męskiego miast do szkoły poszła na wagar i potłukła trzy lampy w parku. Staruszek kwilił pod sklepem MHD.

Znużony milicjant energicznie wkroczył w akcję: i po cóż te łyzy — hołubił staruszką — odrzućcie pesymizm.

— Kiedy sera nie ma. Takiego żółtego, tłustego, z

dziurkami. Smietankowo — szwajcarskiego. Nie ma i już. Od dziesięciu tygodni nigdzie go w Łodzi nie mogę dostać. A bez sera krzywdę mi.

Niestety. Milicjant musiał staruszkowi przyznać rację i nie mógł poradzić. Od pewnego czasu ser stał się w Łodzi artykułem zbytku, podobnie jak samochody Rolls — Royce’a (których brak łatwiej nam znaleźć).

Staruszek nadal ronił łzy i nie nie wskazuje na to by w najbliższym czasie przestał. Chyba, że umrze z tęsknoty.

De Jot

telek, 25) Ziemia, 27) Magazyn, 28) Płaska figura geometryczna, 29) Subsydium państwowe, 30) Miasto powiatowe w województwie opolskim.

PIONOWO — 1) Pisarz, działacz społeczny, pedagog, lekarz, 2) Budynek lub zmierzwiöne włosy na głowie, 3) Służba do otwierania drzwi, biurka, szafy itp., 4) Stolica Cypru, 5) Uczeń, zwolennik jakiejś nauki, 7) Dziwolaż, rzecz nadnaturalna, 10) Szlaban, zapora, 12) Rodzaj pomnika, 13) Krzew lub małe drzewo z rodziny nanerczowatych, 14) Wirlnik, 15) Narodowość europejska, 19) Tytuł utworu M. Gogola, 21) Przepływ prądu o bardzo dużym natężeniu, występujący w przypadku uszkodzenia izolacji lub zetknięcia przewodów różnych faz, 23) Lek, 24) Metal, 26) Zawód włókniarza, 27) Masa plastyczna służąca do formowania sztuksaterii.

Termin nadsyłania rozwiązań — 2 tygodnie.

Rozwiązanie krzyżówki z nr 39
Poziomo — rokok, amator, rower, kompas, Antoni, oktan, palto, sanki, Boreasz, Azja, Pisz, Wacława, kasza, kłosz, salto, kotlet, łupina, opona, lictor, wielka.

Pionowo — połowa, kompot, corso, baran, Mantua, kornik, świt, amarant, lizus, obawa, szpak, Nisko, atonia, zaleta, lipiec, Seneka, stora, Leon, Olawa.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowały:

1. Irena SADOWSKA, Łódź, ul. Próchnika 22 m. 17.
2. Janina KŁODNICKA, Łódź, ul. Bednarska 24 m. 70.

TADEUSZ GICGIER

RĄBAŁ, RĄBAŁ SIEKIERECZKA

Rąbał, rąbał siekiereczka, zarąbał szesnastu: tutaj uszko z krwi katużką, a tam nóżki na stół.

Pierwszy trupek — różowy.
Drugi trupek — bez głowy.
Trzeci, czwarty — wzrostu potężnego.
Piąty, szósty — też trupki niczego.
Siódmy, ósmy — dobrze ułożony.
A dziewiąty, dziesiąty — zielony.
A ten trupek jedenasty — biały, w prześcieradło zawinięty cały.
Trup dwunasty — siwy, siwiuteńki.
A trzynasty — w plastry cięty cienkie.
A czternasty i piętnasty trupek takie równe jak przy słupku słupek.
A szesnasty — leci, leci, bo to duch już jeno, a za duchem pędzi duchem wóz MO z syreną.

W lot odkrył milicjanci nie bez konsternacji, że zabójcą jest reporter, co szukał sensacji.

Rąbał, rąbał siekiereczka, zarąbał szesnastu, bo dostarczyć chciał tematu gazecie i miastu.



FRASZKA TYGODNIA

TADEUSZ DOBRZYŃSKI

Łódzkie echa

Słowo GLOSEM wyleci, a ODGŁOSY „ple-ple” ci...
— nie zawsze, jak widzicie, echo jest wiernym odbiciem.

ZAGADKA TYGODNIA

Dziś zagadka literacka. Jak zwykle nie będzie ona specjalnie trudna. Trzeba po prostu wybrać z trzech odpowiedzi jedną trafną. A zatem:

- Kto był polskim kontrkandydatem do nagrody Nobla.
a) Henryk Sienkiewicz
b) Stefan Zeromski
c) Wacław Sieroszewski.

- Który z pisarzy napisał najwięcej w świecie powieści?
a) Aleksander Dumas
b) Józef Ignacy Krasiński
c) Honoré Balzac

- Który z pisarzy zagranicznych przyjął obywatelstwo polskie?
a) Guillaume Apollinaire
b) Nazim Hikmet
c) Jorge Amado

- Jaki pisarz będąc ślepy i sparaliżowany dyktował swe utwory?
a) Tomasz Mann
b) Mikołaj Ostrowski
c) G.B. Shaw

Rozwiązania wyłącznie na kartkach pocztowych należy nadsyłać w terminie tygodniowym na adres: Łódź, Piotrkowska 96, „Odgłosy”.

Wśród czytelników, którzy nadesłali prawidłowe rozwiązania rozlosowane zostaną nagrody książkowe.

INFORMACJE i ZACZEPKI

ZMS-owska Kawiarnia-klub „Palacyk” (Piotrkowska 262) cieszy się coraz większą popularnością. Nowy kierownik wpadł między innymi na ciekawy pomysł organizowania spotkań z aktorami łódzkich teatrów. Nie wątpimy, że impreza „chwyci”.

Coraz częściej widać na ulicach i podwórkach Łodzi kilku i kilkunastoletnie dzieci hasające z tak zwanymi „korkowcami”. Czyżby producent tych strzelających zabawek i niewiele mądrzejszy urzędnik, który wydał odpowiednie zezwolenie, naprawdę nie rozumieli, że stali się inicjatorami wybitnie głupich i niebezpiecznych zabaw?

Drugie miejsce w ogólnopolskim współzawodnictwie zajęła łódzka dyrekcja Okręgu Poczty i Telekomunikacji. Łącznościowcy Tomaszowa, którzy do tego zwycięstwa przyczynili się najwydatniej, otrzymali ostatnio sztandar przechodni.

„Swita jutrzienka lepszego jutra” — głosi w tytule jedna z łódzkich gazet. Wbrew pozorom chodzi nie o plan 5-letni, stopę życiową czy coś w tym guście, lecz po prostu o to, że gimnastycy dostaną salę, sprzęt i trenerów. Twórcą powyższego tytułu wyszedł widać z założenia, że jak już dać w surmy to tylko bojowe.

„Krzyżacy” Aleksandra Forda mają, jak wiadomo, niemałe wśród rodaków powodzenie. W woj. łódzkim film ten wyświetlano na 542 seansach, a obejrzało go 120 tysięcy osób.

Akcja expressowej powieści rysunkowej „Najdziksze serca” (wg Curwooda) rozgrywa się prawdopodobnie gdzieś w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Ostatnio zdumieni czytelnicy ujrzeli w dioniach jednego z bohaterów... najautentyczniejsze współczesne parabellum.

„Głos Robotniczy” ubolewa, że kiermasz odzieżowy przy ul. Piotrkowskiej 76 uczczono aż... wywieszeniem flag państwowych. Ostatecznie, nie się złego nie stało. Zeby tylko dyrektor nie zechciał wywieszać flag w dniu swych imienin.

Niemalą apetyt mają mieszkańcy Sieradewa. Tantejsza ciastkarnia PSS produkuje bezy, napoleonki itp. na sumę 66 tys. zł miesięcznie.

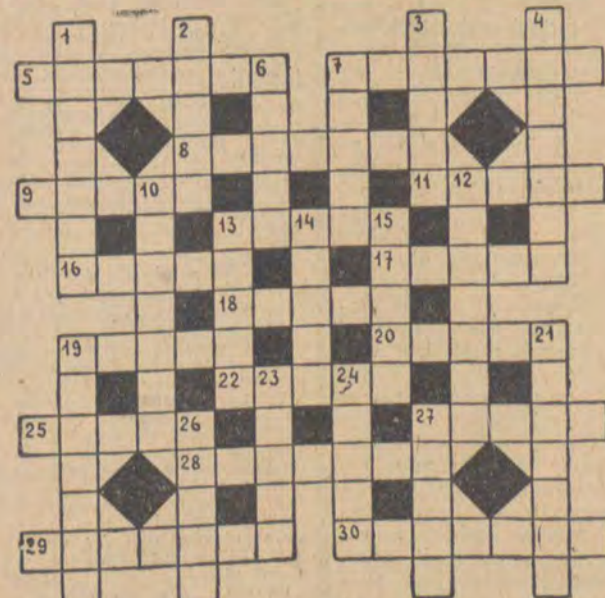
W bieżącym pięciolatce Łódź otrzyma 18 nowych lokali bibliotecznych, a księgozbiory bibliotek zwiększą się o 25 proc.

W środowisku łódzkich naukowców zakończono ostatnio przygotowania do sesji naukowej na temat „Łódź w świetle badań naukowych”. Sesja zgromadzi ponad pół setki naukowców, którzy wysłuchają siedmiu referatów zarówno z dziedziny historii, ekonomii jak i geografii i medycyny.

J. W.

odgłosy 9

Nasza KRZYŻÓWKA



ZNACZENIE WYRAZÓW:

POZIOMO — 5) Państwo w Afryce środkowej, 7) Czwo-rókat w którym jedna z przekątnych jest osią symetrii, 8) Lśn polarny, 9) Jest w oknie,

11) Jutrzienka, 13) Sufit, powa-ła, pułap, 16) Górzysta wyspa w północnej części Wysp Jońskich, 17) Litera grecka, 18) Owad, 19) Arteria wodna, 20) Plakat, 22) Zatyeczka do bu-

Redaguje Zespół * Wydawca Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” * Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79 * Warunki prenumerat: miesięcznie 2 zł — kwartalnie 6 zł — * Redakcja nie zamawia reklam w ogłoszeniach * Prenumerata przysyłana w całości pocztowo, listonosznie oraz PUPPK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy” * Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 11 * Zam. 3222 X. L 12



Z ziemi włoskiej do polskiej...

Dwa błękitne samochody z napisem „Montecatini” wzbudziły sensację koło „Grand Hotelu”. W ubiegły poniedziałek tajemnicza wędrowka tych pojazdów znalazła rozwiązanie na ekranach TV. Włoskie Towarzystwo Chemiczne „Montecatini” zorganizowało w sali Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie pokaz modeli uszytych z materiałów produkowanych przez fabryki podległe Towarzystwu. Tkaniny wykonane były z włókien sztucznych takich jak rhodia, nylon, terital. Szczególnie piękna zgrupowała się przy telewizorach tłumnie, rewie mody nie często bowiem goszczą na małym ekranie, a co dopiero moda włoska! Trzeba powiedzieć, że i dla panów coś się znalazło — mamy tu na myśli początek pokazu — prezentację białej nocnej dla pań... i część końcowa — stroje balowe. Moda męska przypadła do gustu „o tyle, o ile” tzn. że i nasi krawcy potrafiliby uszyć ładne rzeczy z materiałów o takiej konsystencji. Wiadomo, że połączenia wełna — włókna sztuczne stanowią nie tylko o trwałości tkanin, ale i o ich wyglądzie.

Oglądanie tego pokazu dostarczyło również innych tematów do rozmyślań. Po pierwsze: dlaczego nagle firma włoska organizuje sobie w telewizji polskiej pokaz modeli produkowanych przez kilka włoskich domów mody, skoro ani słowem nie wspomina się o wprowadzeniu krótkich choćby „serii” na polski rynek. Czy chodzi tu jedynie o propagandę „włoskiej” linii w modzie, bo jak wiadomo wzorujemy się w modzie damskiej na Paryżu, w męskiej zaś na Londynie? Czy chodzi może w ogóle o ekspansję na rynek polski, która z jednej strony „rozłożyłaby” zupełnie nasz tradycyjny wciąż jeszcze przemysł odzieżowy, jednocześnie jednak byłaby czynnikiem mobilizującym naszych wytwórców do większych wysiłków i znaczącego postępu dla praw mody. Może też chodzić o zareklamowanie polskiemu przemysłowi włoskich włókien syntetycznych i trzeba przyznać reklamowanie to, przy pomocy przesłanych modelek, ma szansę powodzenia, jakkolwiek sama moda włoska nie bardzo się nam podoba. W każdym razie na telewizyjnym podwórku mamy do odnotowania fakt ciekawy — udostępnienie małego ekranu dla celów wielkiej międzynarodowej reklamy. I chociaż widz odchodzi od ekranu rozalony, bo nieprzemakalny płaszcz z nylonu znajduje tylko w komisie i to za dwa, trzy tysiące złotych, to jednak rodzimy producent odczuje twórczy niepokój. Takie konfrontacje zobowiązują nasz przemysł i handel. Cuda ze sztucznych tworzyw możemy i powinniśmy robić już u siebie. (m)

TEATR ZA SZKŁEM

„HIMMELKOMMANDO“

Sztuk, których akcja rozgrywałaby się w Oświęcimiu i Treblince jest, zdaje się, raczej niewiele. Z różnych przyczyn, chyba również i z tej, że w tym kręgu pięknie nie chodziło w końcu ani o wybór, ani nawet o niemożność wyboru, a tylko o — kolejność.

Stąd dość wyjątkowa pozycja „Himmelkommando” D. Lebowicza i A. Obrenovica, które swego czasu oglądaliśmy w wykonaniu teatru z Nowego Sadu, a w ubiegły piątek w adaptacji telewizyjnej Władysława Orłowskiego, reżyserii Jerzego Antczaka i scenografii Jerzego Mastowskiego zostało zrealizowane przez studio Łódzkie.

Powiedzmy sobie od razu: był to spektakl bardzo na czasie, bardzo potrzebny, a przede wszystkim bardzo interesujący. Rozsądna adaptacja, surowa może w skrótach, ale skrótach w rezultacie sztuki nie zubożających, zostawiają-

cych jej istotny miąższ — dała reżyserowi wartościowe tworzywo, niemniej tworzywo, które trudno by określić wzięcym mianem „samograj”. Znalezione precyzyjnej, pełnej formy podawczej nie było na pewno rzeczą prostą i z tym większym uznaniem można mówić o pracy realizatorskiej Jerzego Antczaka.

Antczak, próbuje to odczytać z widowiska, poszukując przede wszystkim kina, kina planów, kina, które by mu jakoś uporządkowały bieg akcji i wyznaczyły jej kolejne kulminacje.

Więc przede wszystkim plany pełne, o dużej głębi, przy nieostrym, nieco nawet zamazującym kontur światła. Postacie snują się jak wpółfantomy, trudno rozpoznać rysy twarzy, tylko pasłaki rysują się wyraźnie.

To tło dramatu.

Teraz zawiązanie akcji. Kamery najędzają, twarze bohaterów wyciągane są z półmroku, przechodzimy do planów amerykańskich, w których rozegrana zostanie wię-



Nareszcie wszystko jest jasne!

W ostatniej rozmowie o programie lokalnym, prowadzonej między dwoma pracownikami naszej telewizji rozstrzygnięty został problem, który poruszyła w ostatnim numerze „Odgłosów” pani Jolanta Mach. Mianowicie okazało się, że Łódzkie rozmowy o programie nie mają wcale założenia podobnego do rozmów warszawskich prowadzonych przed dyr. Pańskiego i „przedstawicieli telewizji” red. Pijanowskiego. Nasze łódzkie rozmowy nie mają już w założeniu charakteru pikantnego sporu, dyskusji o wysokiej temperaturze, w której to dyskusji, żadna ze stron nie ma obowiązku uznać się za pokonaną lub przekonaną. Nasze łódzkie rozmowy, jak wyjaśnił dyrektor Orłowski, są po prostu rozmową z widzami. Red. Zdrojewski, którego na naszych łamach zaatakowała pani Jolanta Mach, jest współpracownikiem łódzkiej telewizji, który zbiera opinie słuchaczy o programie i w formie zagadnień, czy problemów przedstawia do omówienia dyrektorowi ośrodka.

Będziemy bardzo wdzięczni, jeżeli w audycji tej znajdzie się choćby maleńki kącik odpowiedzi skierowanych pod adresem prasy. Jak wiadomo „Odgłosy” poświęcają co tydzień jedną kolumnę telewizji. „Głos Robotniczy” zamieszcza co czwartek obszerny felieton „Tydzień na małym ekranie”, również pozostałe pisma łódzkie nie przechodzą obojętnie obok programu telewizyjnego. Sądzimy, że audycja typu „rozmów o programie” powinna stać się trybuną telewizji, z której będzie ona podejmowała polemiki, odpowiadała na zarzuty, wyjaśniała (powiedzmy!) nieporozumienia.

Może odpowiadać na nasze artykuły dyrektor Pański, dlaczego nie może ktoś z Łodzi? Myślmy tu nadal o rzeczony audycji. Oczywiście nasze łamy, stoją również otworem. (X)

List w sprawie tajemnicy

Wprawdzie w dyskusji „Odgłosy” contra Łódzki Ośrodek Telewizyjny, a której przedmiotem była jakaś „tajemnica” łódzkiej TV, nie pało moje nazwisko, nie mniej cała ta sprawa dziejąca się nad moją głową właśnie mnie dotyczy. Dlatego też wyjaśniam:

Rzeczywiście otrzymałem drugą nagrodę w konkursie na audycję ogłoszonym przez łódzką TV. Pierwszą nagrodę nie przyznano.

Nie mogę i nie mam żadnych pretensji do łódzkiej TV za to, że do realizacji wzięło projekt nagrodzony trzecią nagrodą. Organizatorzy konkursu — jak to rzeczują również przypomnieli „Odgłosy” — zastrzegali sobie prawo wyboru typu audycji. Zresztą w później przeprowadzonej rozmowie dyr. W. Orłowski wyjaśnił mi powody, dla których wzięło do realizacji projekt nagrodzony trzecią nagrodą. Osobiście uważam te wyjaśnienia za przekonujące.

Poza tym: mój projekt rozmowy audycji utrzymany był w formie „łódzkiego tygodnika telewizyjnego” i operował w dużej mierze filmem — co jak się dowiedziałem — ze względu na szcuple zasoby finansowe łódzkiej TV wykracza poza możliwości realizacyjne LOT.

KRZYSZTOF POGORZELC

Rytmu ODBIOR

O „MASKARADACH” i jeszcze o tańcu

Kolejny program rozrywkowy — nadany w sobotę 28 ub. m. z Warszawy „Maskarady” — wyszedł z warsztatu reżysera o bogatym telewizyjnym doświadczeniu i ogromnym już osiągnięciach, z warsztatu ADAMA HANUSZKIEWICZA. Zrozumiałe tedy, że budził on nasze najwyższe zainteresowanie — otrzymaliśmy jednak w rezultacie chyba mniej, niż można się było spodziewać.

I o dziwo — najmniejszą jego stroną było coś, o co wujemy już od lat: taniec. Grupa solistów Opery Baletowej z główną już tancerką ALICJĄ BONIUSZKO na czele, pokazała szereg przyjemnych, dowcipnych, zabawnych skonstruowanych układów, w dodatku układów naprawdę dobrze „sprzedanych” operatorsko. Myślę tu przede wszystkim o kolejnych duetach, bo i finałowy wale i mające charakter przerywników układy na „schodach-for-tepianie”, były nujące i — niestety — jednostajne.

Obok tego: akteryjczy przebrani za muzyków, KALINA JE-

DRUSIK w białej peruce, LUDMILA JAKUBCZAK z — między innymi — „Ja się boję sama spać”, IRENA SAN-TOR, wreszcie BEATA TYSZKIEWICZ i ADAM HANUSZKIEWICZ w lirycznych miniaturach... Owszem, sprawnie to szło, liryczna, a zarazem nieco drwiąca tonacja całego koncertu była zachowana, ale brakowało rozmachu, czasami tempa, czasami jakiegoś pomysłu, który mógłby ożywić całość.

Ze jednak taniec coraz częściej pojawia się na małym ekranie, a w danym przypadku stanowił niemalże podstawową część całej audycji — to na pewno dobrze. Pokazała coś Łódź, pokazała coś Warszawy, zaraz po niej — bo w niedzielnym koncercie z cyklu „Muzyka dla ciebie” — mieliśmy okazję oglądać z Poznania chociażby naszego starożytnego EDWARDA POKROSA.

Wprawdzie w tej ostatniej audycji — od strony reżyserii telewizyjnej — rzecz była najdokładniej chybiona, a rozbiele „Tańca Szewca” na szereg kolejnych scenek w planie pełnym, planie amerykańskim, pełnym, amerykańskim i tak aż do upojenia — śmiesznie nuzło; ale to chyba tylko dowód, że nie zawsze, a przynajmniej nie do końca, potrafimy przenosić taniec na mały ekran.

Miejmy jednak nadzieję, że nauczymy się, co więcej — że coraz więcej układów będzie powstawało specjalnie dla TV, przy współpracy choreografa i reżysera.

J. PANASEWICZ

PROGRAM na najbliższe dni

CZWARTEK — 9. XI. 1961 R.

11.00 Program dla szkół: Historia (dla klas V). „Polska Bolesławów” (W). 11.30—16.50 Przerwa. 16.50 Program dla (L. lok.). 16.55 Program publicystyczny „Co się stało na Świecie” (L. lok.). 17.10 Z cyklu „Sylwetki kompozytorów” — „Franciszek Liszt” — program z Poznania) prowadzi Jerzy Młodziejowski (Poznań). 17.40 „Klasy” — wydanie specjalne magazynu filmowego (W). 18.00 „Na półkach księgarskich” (W). 18.10 Program dla młodzieży „Tancerze” — inscenizacja fragmentów powieści Elżbiety Jackiewiczowej (oraz dyskusja młodzież) (W). 18.35 Telewizyjny Magazyn Włoskiowy pt. „Gniazdo i Trasy” (W). 19.30 Dziennik telewizyjny (W). 20.00 „Nie tylko dla pań” — magazyn (W). 20.30 PKF (W). 20.40 „Porozmawiajmy” — z Dyr. Programu TV rozmawiać będzie red. Lech Pijanowski (W). 21.00 Teatr Kobry — „Zabie człowieka” wid. sensacyjna Juliusza Janczura, Reżyseria — Jerzy Antczak, Scenografia — Jerzy Mankowski, Obsada: Sierżant Butrym, Ignacy Machowski, Ludwik Benoit, Bogusław Sochnacki, Jerzy Szpaner, Henryk Stacheci, Aleksander Fogiel, Włodzimierz Kwaskowski (L. ogólnop.). 22.00 Ostatnie wiadomości (W).

PIĄTEK — 10. XI. 1961 R.

16.45 Program dla (L. lok.). 16.50 Spożyczenia i opinie (L. lok.). 17.25 „Nie jeden Janek Faryka” — młodzież. progr. public. (Poznań). 17.55 Film rysunkowy z serii: Przygody dziwnego psa Huckleberry (W). 18.25 Wszelchnia TV „Proletariatczy” — progr. z cyklu „Kartki z rodowodów” (W). 18.35 „Młoda flota” — progr. publicystyczny w oprac. Jerzego Ringera i Jerzego Krawczyka (W). 19.30 Dziennik telewizyjny (W). 20.00 „Maksym” — film fab. prod. radz. (dozwolony dla młodzieży) cz. II (W). 21.55 Ostatnie wiadomości (W).

SOBOTA — 11. XI. 1961 R.

11.00 Program dla szkół: dla kl. VI Geografia — „W górskich wsiach” z cyklu „Poznaj swój kraj” (Kraków). 11.30—17.35 Przerwa. 17.35 Program dla (L. lok.). 17.40 Program dla dzieci: „A co dalej?” — książeczka dla najmłodszych (W). 18.00 Specjalne wydanie magazynu „Jaskółka” — program dla dzieci z Pragi Czeskiej. 18.30 „Uważaj! Kłęczmy” — reportaż (W). 19.00 Program tygodnia (W). 19.15 Program tygodnia (L. lok.). 20.00 Dziennik telewizyjny (W). 20.30 „Trudne lata” — film fab. prod. włoskiej (dozw. od lat 16). (W). 21.32 PKF (W). 22.02 Ostatnie wiadomości (W). 22.10 „Nowe piosenki” — program rozrywkowy (W).

JERZY PANASEWICZ

ZBIGNIEW NIEACKO

Wojtek JUDASZÓW

— Proszę powiedzieć, że mnie nie ma w domu.
— Oświadczył, że będzie na pana czekał, choćby do jutra. I czeka... w hallu — dodała.

— Niech więc tu przyjdzie.

Odszedł od drzwi. Położył pistolet na stole, nakrył go otwartym tomem Byrona. Usiadł na krześle, oparł rękę na książkę, jakby ją czytając w chwili nadejścia nieznajomego.

Hałasując wysokimi butami wkroczył do pokoju, może dwudziestoletni chłopak w rozpiętej zielonej kurtce i rozchełstanej koszuli. Był z gołą głową, dziwnie jajowata, z płowymi gładko przyczesanymi włosami. Ruchy miał swobodne, rubaszne. Nie wyjmując ręk z kieszeni kurtki podszedł do stołu.

— Czy mówi pan po angielsku? — zapytał dość poprawną szkolną angielszczyzną.

— Tak — mruknął Albert, nie podnosząc się z krzesła.

— Przychodzę z rozkazu Rokity...
— Słucham — Albert rozparł się na krześle. Pstryknięciem palców prawej ręki popchnął po stole paczkę papierosów. I prawie sapnął z ulgą, gdy młodzik wyjął ręce z kieszeni sięgając po papierosa. Zapalił, rozejrzał się po pokoju w poszukiwaniu krzesła. Znalazł je, przysunął do stołu. Usiadł na krześle okrzaskiem.

— Przychodzę od Rokity...
— powtórzył młodzik zapewne szukając w głowie słówek do dokładnego sformułowania swych myśli. Zaciągnął się papierosem, prychnął jak kot, wypływając okrucy tytoniu. Papieros był bez munsztuka.

— Pan jest angielskim skoczekiem, czy tak? — i zabaczwszy niespokojny ruch rąk Alberta dodał uspokajająco, — Proszę mi bezwzględnie ufać. Jestem od Rokity.

— Nie wiem skąd pan przybywa — Albert odrzekł wolno i po polsku. Wsunął dłoń pod książkę. Palcami objął kółko rewolweru. — Jedno wiem: przybył pan pod niewłaściwym adresem. Jestem funkcjonariuszem aparatu bezpieczeństwa publicznego.

Oczy młodzika stały się okrągłe, szukała mu opadła, usta rozchyliły się, jak u zagapionego dziecka.

— Spokojnie — wrzasnął Albert — Ręce na stół!

Teraz zagrożony wyłotem lufy młodzik pozwolił sobie wyszarpnąć z kieszeni ogromnego kowbojskiego „Colta” i nieduże jajko granatu „zaczepek”. Milczał. Zdawało się — nie oddychał. W rozchylonych ustach lśniła ślina.

— I naprzód marsz! — zakomenderował Albert.

Dziobiąc lufą plecy chłopaka sprawdził go ze schodów do hallu, potem na korytarz. Kazał otworzyć drzwi. Kiedy znaleźli się w ogródku Albert daleko na trawniku rzucił ciężkiego „Colta”.

— Zabieraj się, szczeniaku.

Wrócił do willi, zatrzasnął drzwi. Odeknął „Judasza” i widział jak chłopak chwilę stał nieruchomo w miejscu, gdzie go zostawiono. Nagle zerwał się przerażony trzema susami dopadł porzuconego

pistoletu, schwycił go łapczywie i patrząc w drzwi willi, przygarbiony, wolno wycofał się na ulicę. Odszedł kołysząc się jak kaczka.

„Za późno” — pomyślał Albert. Machina, którą skonstruował, niedostrzegalnie dla swego twórcy poszła w ruch, poczęła się obracać i żyć swoim własnym życiem. „A jeśli wciągnie i mnie w tryby i zgniecie?” — rozważał już teraz prawie obojętnie, jak by chodziło o kogoś zupełnie mu obcego.

Tego samego dnia wieczorem Albert znalazł się przed odrapanym budynkiem Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w R. W chłodnym wieczornym powietrzu zastąpił niebieskawym zmierzchu. Budynek PUBP stał na uboczu, w wąskiej i ślepej uliczce. Ale ludzie, którym wypadło odwiedzić tę uliczkę — stąpali ostrożnie, zdawało się, na czubkach palców. Z lekkością ciekawo-

ścią zerkali na okna zakryte gestą drucianą siatką, patrzyli w ogródki, gdzie wśród topoli stała budka wartownicza pomalowana w białoczerwone pasy.

W cuchnącym zleżałym dywanie biurowym pomieszczeniu, z twardą na klawiszach „Remingtona”, drzewała brzydka, wągrowata dziewczyna. Podniosła na Alberta zaspane oczy, na policzkach miała odbite malutkie kółeczka — guziczki klawiszów.

Zameldujcie Szefowi przybycie majora W. z Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego — rzekł cicho podając jej legitymację.

Wrócił prawie natychmiast. — Możecie wejść do Szefa...
— Przywitał go mężczyzna chyba czterdziestoletni. Nadmiernie wysoki, zgarbiony, z zapadniętą klatką piersiową i rękami długimi jak u małpy. Na policzkach płonęły mu niezdrowe rumieńce, wargi miał spalone, cęć błada jak wypłowiała bibułka. Duża, wysunięta szczeka nadawała mu wygląd łagodnego poczciwca, głos dudnił gdzieś w głębi brzucha. „Zyla — określił go Albert. — Sucha, wygarbowana zyla. Rzemień”.

Szef Powiatowego UB, Jaruga nosił na sobie mundur kapitana WP. Rozpięte guziki munduru ukazywały zieloną zmiętą koszulę nie pierwszej świeżości. Ogromne

biurko pokrywała ruina jakichś papierzyśk 4 książek, traktował je wrogo, raz po raz odpychał od siebie czyniąc miejsce dla swoich długich rąk o dłoniach obrośniętych rudymi włosami.

Obok biurka siedział Krychniak również w mundurze, z dystynkcjami porucznika. Wojskowy pas zesunął mu się z bezczukowatego brzucha, tłusta szyja wylewała się z ciasnego kołnierzyka.

— Wiem o was, majorze — zabasował Jaruga. — Otrzymałem telefonogram w waszej sprawie. Od trzech dni mieszkacie w willi Raczyńskich. Byliście u profesora Ramuza, potem na jeden dzień gdzieś was tam diabli ponieśli. Co mnie to zresztą obchodzi? Macie tu jakąś misję? Dobrze. Ale swoją drogą możecie zjawić się u mnie trochę wcześniej.

— Nie miałem potrzeby — wzruszył ramionami Albert. Podał Krychniakowi rękę. Chciał powiedzieć: „my się już znamy, prawda?”, ale się wstrzymał.

Jaruga uderzył pięścią w stół: — Nie macie do nas zaufania, rozumiem. Ech, wy...

— Przyjechałem tutaj w sprawie wojskowych dezertorów.

— Nie żyją — buchnął śmiechem Krychniak. — Poszli do bandy i Rokita kazał ich rozwalić. Sam oglądałem trupy. Nie było go co przyjeżdżać.

— Bo też on tu nie po to przyjechał. Nie wierzę, majorze, on coś knuje. — Jaruga uśmiechnął się łagodnie, wyrozumiale.

— Zapalcie, majorze — namawiał.

Jaruga zaciągnął się długimi gwałtownymi haustami. W płucach mu rzeziło.

— Gubi was przesadna nieufność — powiedział z udanym żalem.

— Nie rozumiem — wzruszył ramionami Albert.

— Przyjechał na nasz teren oficer z Ministerstwa — opowiadał Jaruga — Incognito. Nie porozumiał się z nami. Nie wiem czego tu

— Ty draniu...
Albert patrzył na Krychniaka. Jego twarz wydawała mu się jakby drewniana. Znowu czuł chłód w końcach palców. „Ty draniu...” powtórzył w myślach słowa Jarugi.

— Zabili go — warknął Albert. Po raz drugi w pełni uświadomił sobie fakt śmierci Mikołaja. Za pierwszym razem opanował go strach, teraz — tylko wściekłość.

— Jedni mówią, że strzelała do niego jakaś kobieta. Drugi, że mężczyzna na motocyklu. Oczywiście, nikogo nie schwytano. „Polegli na polu chwały” — z fałszywym patosem powiedział Krychniak.

— Mamy długie ręce — Jaruga wyciągnął na biurku swoje długie łapska i przyglądał się im z pełną aprobatą. — Kobieta? W grę może wchodzić tylko jedna kobieta. Kochanka Perkuna. Jego rozstrzelano, kochała go, teraz mści się. Takie baby potrafią wariować z miłości. Tragizm miłości czyni je okrutnymi. Jeśli kiedyś mdlała na widok kropli krwi, teraz może być zdolna zabijać lepiej od kapa.

— Piękna, wspaniała kobieta — westchnął Krychniak.

— Przecież nigdy jej nie widziałeś? — zauważył Jaruga.

— Mówię na podstawie ryso-
sopisu. W oddziałach Rokity krąży legenda o bogactwie, które darował jej Perkun. Podobno obsypywał ją złotem, klejnotami. A miał facet żonę i dwoje dzieci.

— Wysoka, ma rude włosy, orli nos, bladą twarz ze złotymi centkami... — recytował Albert. Krychniak ziewnął.

— Rysopis przedwcześnie postaliśmy i do was. Ale ja twierdzę: jej już nie ma w Polsce. Uciekła. To nie ona zabiła waszego porucznika.

Albert zapalił papierosa. Gasząc zapalkę rzekł cicho.

— Dzisiaj w nocy stanie się coś niedobrego.

— Wróżycie? Wróżycie z fusów, majorze? — zaśmiał się grubo Jaruga. — Przecież dotąd kawę was nie po-

Wstał i uchyliwszy drzwi od sekretariatu, kazał połączyć się z Komitetem Partii.

— Do diabła — mruknął cicho — i ja mam przecucie, że coś się stanie. Lamię mnie w kościach jak starego reumatyka.

— Gimnastyka — rzucił złośliwie Krychniak.

Jaruga zasiadł znów za biurkiem. Oddychał ciężko, wciąż rzeziło mu w piersiach.

— Powinności się leczyć...
zauważył Albert.

— Eee tam — machnął ręką. — Zdychem tak już od pięciu lat.

Albert słyszał o nim wiele dobrego. Podczas okupacji Jaruga zapisał piękną kartę, dowodził AL-owskim oddziałem leśnym, uratował kilku-dziesięciu Żydów z płonącego getta w R. Zadumcujony przez kogoś z NSZ i schwytany przez gestapo, nie wydał nikogo, mimo tortur. Połamano mu palce — przypomniał sobie Albert i wstydliwie zerknął na jego dlonie.

Palce Jarugi nosiły długie sine blizny i zgrubienia. To była chyba prawda z tymi torturami.

— Począł się nie zgłasza — stwierdziła sekretarka.

— Co to znaczy: nie zgłasza się?

— Na linii zupełna cisza. Chyba awaria...

Upłynęła długa chwila milczenia. Jaruga opuścił gabineć aby zarządzić sprawdzenie przyczyny zepsucia się linii telefonicznej. Albert sen-
nym wzrokiem obserwował Krychniaka.

— Wczoraj wieczorem byliście inni, poruczniku — powiedział Albert. Męczyło go milczenie.

— Inny? Byłem w cywilu. Czy zawsze jesteście taki tajemniczy?

Albert uśmiechnął się. Ale nie wyrzekł słowa.

— Majorze — powiedział grzecznie Krychniak — zapraszam was na dziś wieczór. Moja żona bardzo się wami interesuje...

— Czyżby?

— Jesteście zaskoczeni?

Ludzie silni, brutalni kochają się w rzeczach słabych i kruchych. Jedną ręką brutalnie ingerują w życie, drugą zaś pragną ochraniać coś bardzo kruchego. Zauważyliście świeżo skopane grządki przed Urzędem? To moja zasługa. Zasadzimy nasturcję, lewkonie, lwia paszczę, maciejkę. Dość grozy wokół naszego gmachu.

Wrócił Jaruga w towarzystwie dwóch mężczyzn. Jeden z nich nosił mundur kapitana milicji.

— Szukałem ich i sami się znaleźli. Sekretarz partii — Jaruga przedstawił Albertowi mężczyznę w cywilu. — A ten towarzyszy to komendant, MO, Kluczyński, pseudo „Sowa”. Słyszeliście o nim? Nasz watażka i czołowy bandzior, moja chluba i troska. Partyzant — po raz pierwszy Albert wyczuł w głosie Jarugi nutę serdeczności.

Sowa z rozstargnieniem pocierał palcami wielki mięśisty nos. Był wysoki, barczysty, o rysach grubych, jak ludowe świątki. I twarz miał naiwną, „świętą”.

— Jak się to stało? Słucham was, towarzyszu — Jaruga zwrócił się do sekretarza.

Zasiedli. Jaruga za biurkiem, oni przed biurkiem, jak skromni petenci. Sekretarz — młody, chyba trzydziestoletni mężczyzna powiedział w złości:

— Znowu złapałem Sowę, jak uciekał do lasu. Najpierw zadzwonił do mnie do Komitetu, nawymyślał mi od ośmiu do dwunastu godzin całą naszą partię, rzucił słuchawkę. Zrozumiałem co się święci i buch w samochód. Dogoniłem go zaraz za miastem. Prowadził do lasu swoich bandziorów. Zatrzymałem ich, nagadałem, zabrałem Sowę ze sobą i przywiozłem go tutaj. Jak długo zamierzacie tolerować wybryki Sowę?

— Cył, cył, towarzyszu Sadowski. Z Sową zrobię porządek — i huknął na Sowę. — Jesteś aresztowany. Oddaj pas i pistolet. Będziesz u mnie kiblował.

d.c.n

ROZMOWA z dr Zygmuntem Latoszewskim

Dalszy ciąg ze str. 2

nie tych dwu wielkich zespolów będzie więc trudne, ale nie niemożliwe. Bo jeżeli powiedzieliśmy „a” i wybudowaliśmy gmach, to trzeba powiedzieć „b” i stworzyć warunki dla treści artystycznej mającej wypełnić ten przybytek sztuki.

— Przeciwnicy opery lansują opinie o rzekomym przeżyciu się tej sztuki, o tym że nie pasuje do tempa dzisiejszego życia. Co Pan o tym myśli?

— Na pytanie to nie sposób odpowiedzieć jednym zdaniem. Sądzę jednak, że najogólniej biorąc, niechęć do opery wśród pewnych kół, wyrosła z prostej winy samych teatrów operowych nie zawsze umiających wyzwoleć się ze zbyt przestarzałych konwencji wykonawczych. Bo przecież sceny mówione także wystawiają dzieła epok minionych, ale przybliżają je nowoczesnością inscenizacji i właściwym od czytaniem treści do człowieka współczesnego. Nie ulega wątpliwości, że właściwe, dramatycznie prawdziwe wykonanie klasycznego repertuaru operowego może dziś tak samo, jeżeli nie jeszcze silniej przemówić. Jest to jednak sprawa niełatwa do zrealizowania, bo wygodne nawyki sztampy operowej wystarczały przez całe generacje melomanom, wielbicielom wielkich popisów śpiewanych, przesłaniających im zarówno akcję dramatu jak i całość muzyczną ulubionych oper. Dzisiejsza publiczność jest jednak o wiele czujniejsza i pragnie w operze znaleźć sztukę nie tylko muzyczną ale i teatralną. Jeżeli więc opera stanie się dobrym teatrem liczba jej krytyków zmaleje na pewno. Ponadto wzбудzi na interesowanie także repertuar współczesny, który w Polsce jest mało znany.

Pozwól sobie przypomnieć, że wystawiona przeze mnie współczesna opera Brittena „Peter Grimes” na Wybrzeżu spotkała się z ogromnym powodzeniem i przy tej okazji stwierdzam, że opera widocznie w XX wieku jakos nie przeżyła się jeszcze.

— Jestem miłośnikiem dobrej opery. Czy nie uważa Pan, że opera stała się może skuteczną odtrutką na aktualny dzień kryzysu melodii, zanik nawyku i umiędzynarodowienia śpiewaczy w społeczeństwie?

— Niewątpliwie w teatrze czynnik wizualny jest łatwiej dostępny od treści muzycznych. Równocześnie jednak w ten sposób przemycą się do świadomości widza wrażenia słuchowe, które pogłębiają, bezwiednie nawet, jego wrażenia wizualne. Następuje proces łączenia tych dwóch elementów, z których ten drugi — muzyczny staje się z czasem nieodzownym potrzebnym i w ten sposób rozwija się zamilowanie do śpiewu, który jest najbardziej popularną formą doznań muzycznych.

— Dziękujemy za tak miłe dla nas optymistyczne opinie na temat perspektyw i możliwości operowej Łodzi. Na zakończenie jedno, małe pytanie. Czy tytuł doktora wiąże się jakoś z Pańskim zawodem muzyka?

— Jak najbardziej. Studiowałem muzykologię i tytuł ten uzyskałem jeszcze przed wojną, na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Poznańskiego.

Rozmawiała:

K. WYRZYKOWSKA

odgłosu str. 11

STARY KLUB, A W TYM KLUBIE...

Klub Towarzystwa Przyjaciół Polsko-Radzieckiej przy ulicy Narutowicza może nie jest aż taki stary, ale za to dzieją się w nim rzeczy ciekawe. W ub. poniedziałek np. gościł tu twórca „Czystego nieba” reż. Grzegorz Czerwinski. Przedtem jeszcze w skromnej klubowej sali spotykali się z łódzkim społeczeństwem Maksym Rylski, Bielajew, Niliński i inni. Gościli tutaj delegacje — uzbecka, gruzińska, białoruska, ukraińska, litewska...

Klub skupia wokół siebie także młodzież zrzeszoną w szkolnych kołach przyjaciół ZSRR. I tu właśnie jest się czym chwalić. Stworzono mianowicie jedyny chyba w Polsce dyskusyjny klub filmowy młodzieży szkolnej. Organizuje się poza tym doroczne konkursy. W roku bieżącym będzie to już siódmy konkurs klubu poświęcony tym razem rosyjskim tańcom i pieśniom.

Powszechnie wiadomo, że odczyty nie są tą najbardziej upragnioną przez łódzian atrakcją. Placówka kulturalna z ulicy Narutowicza i w tej dziedzinie zadziwia. Sala odczytowa mieści 170 osób a bardzo często w czasie spotkań trzeba zamykać drzwi, bo na sali nie ma dosłownie gdzie szpilki wetknąć. Znamy nieocenione praktyki z zamykaniem drzwi w czasie odczytu stosowane w pewnych zakładach pracy. Tylko tam idzie zazwyczaj o to, żeby słuchacz nie uciekł.

Aby obraz klubowej działalności był mniej więcej pełny, należałoby jeszcze wspomnieć o współpracy z łódzkimi fabrykami, o przeglądach wydarzeń politycznych (nieoceniony, wszechobecny Lebnbaum), gdzie stali bywalcy, postawiali byli kapepowcy, dyskutują z werwą młodzieńcy. Należałoby jeszcze wspomnieć o sześciu kursach języka rosyjskiego, na których łącznie uczy się ponad 200 osób...

Na zakończenie poinformujemy naszych Czytelników, że w klubie działa Kółko Miłośników Filmu Radzieckiego, którego członkowie dzięki uprzejmości ambasady radzieckiej w Warszawie oglądają w każdą sobotę filmy w wersji oryginalnej. Kto chce, niech się do klubu zgłosi. Może będą jeszcze wolne karnety.

No i wreszcie na koniec — biblioteka. Jest ona chyba jedną z najlepiej zaopatrzonych w pozycje literatury rosyjskiej i radzieckiej. Oczywiście mamy na myśli oryginalną. Na pięć i pół tysiąca tomów 40 proc. jest w języku rosyjskim. Korzystają więc z księgozbioru robotnicy, korzystają studenci. Klub w środku miasta cieszy się popularnością. Zupenie zresztą zasłużenie.

ODGŁOSY

tygodnia

Czytelniku, chwyć się za guzik!

W Łodzi jest około 300 tysięcy budynków, na każdym kilkanaście kominów, w każdym kominie kilka przewodów dymowych. Na to wszystko przypada 75 kominiarzy zrzeszonych w spółdzielni pod tą właśnie nazwą.

Wycier wszystkich kominów — jak to się fachowo nazywa — musi być dokonywany regularnie — raz na 6 tygodni, a w zakładach przetwórstwa spożywczego — raz na dwa tygodnie.

Każdy kominiarz „wyciera” co dzień od 120-200 przewodów dymowych, zarabiając w ten sposób około 2.300 zł miesięcznie. Praca jest trudna i niebezpieczna, jednak od czasu założenia spółdzielni, czyli od jedenastu lat, nie zdarzyło się, by kominiarz spadł z dachu. Wypadki — owszem — były, mianowicie samochód potrafił dwóch kominiarzy jadących na stopniach tramwaju (do wnętrza wagonu nie wolno im wchodzić).

Wśród 75 kominiarzy jest aż 46 mistrzów i kilkunastu „wyswieconych” czeladników, nie ma natomiast prawie wcale „narybku”. Młodym kadrom nie spieszy się do kominiarstwa.

Spółdzielstwo pozostaje do kominiarzy w stosunku serdecznym, oni jednak mają do nas sporo pretensji. Brak w domach drabin do wchodzenia na dach, często gospodynie nie chcą dawać klucza od „góry”, bo akurat suszy się bielizna. Wreszcie, co kominiarzom absolutnie się nie podoba, to „dzikie” podłączanie się do przewodów dymowych. Lokator np. wybija dziurę do komina a wcale nie wie czy przypadkiem piętro niżej nie jest podłączony przewód od piecyka gazowego. Grozi więc wybuch. Albo dla odmiany podłącza się często piece do przewodów wentylacyjnych.

W samym tylko miesiącu październiku wykryto w śródmieściu 60 „dzikich” podłączeń, a w dzielnicy Polesie — 50. Wypada zatem do tradycyjnej formuły „Chwyć się za guzik” dodać „... i pomyśl”.

Ochrona podręczników

W 16 roku Polski Ludowej upaństwowiono jeszcze jedną prywatną inicjatywę: ochronę podręczników. Do niedawna władze domowe i szkolne w postaci mamy i nauczyciela wołały gromko „nie niszczyć podręczników”. Obecnie zwalczą się państwowo: „ośle rogi”, kleksy, plamy tłuste i słodkie, wyrzwanie kartek, rysowanie, dopisywanie rozwiązań, tłumaczeń itp. itp. Podręczniki są bowiem, począwszy od tego roku szkolnego, przekazywane jak tradycje — z pokolenia na pokolenie, z klasy do klasy.

Cały wrzesień i październik minął pod znakiem utyskiwań, uczynów, kłopotów nauczycieli. Pierwsi narzekali na „głupi pomysł”, drudzy starali się pomysł jak najlepiej zrealizować. Teraz panuje już względny spokój i akcja sprawozdawcza z akcji przekazywania starych podręczników.

Łódzkie Kuratorium stwierdza, że zaopatrzenie w podręczniki jest prawie dobre. Brak jedynie szkół ogólnokształcących np. algebry dla klas X, szkół podstawowych wypisów i podręcznika z języka polskiego dla klasy siódmej, historii dla klasy IV, niemieckiego dla klasy V i VI (nauczyciele latają te braki „małą mozaiką”), szkołom zawodowym — pewnych podręczników z przedmiotów zawodowych jak „Podstaw elektrotechniki” — Sawickiego, chemii dla klasy I i II Techników itp. Przyczyny: nie wydrukowano, nie rozprowadzono i nie opracowano.

Obecnie jest w użyciu połowa starych podręczników przekazanych z klasy do klasy i połowa nowych. W przyszłym roku ma być 75 proc. starych i 25 proc. nowych. Oszczędności już są. Nie wiadomo jeszcze jakie, wiadomo tylko że duże. Jeśli chcemy chronić — chciejmy chronić podręczniki. Innej rady nie ma.

P. S. Tylko pierwszaki otrzymały nowe książki. Należy im się. Nie popelnili jeszcze ani kleksa, niech starają „na zysło”.

Barwa wszystko może

Śmiejemy się z byka, że wścieka się na widok purpury. A my proszę państwa?

Barwy mogą nas podniecić, uspokoić, przytłoczyć, wywołać u pana czy pani uczucie lekkości, ciepła, zimna, przybliżenia i oddalenia. Mało że wpływają na samopoczucie psychiczne, zależy od nich jeszcze bhp, wydajność pracy, ilość wypadków, a niektórzy mówią że i odporność na choroby. Tak przynajmniej twierdzi nauka o dynamice barw, na której jedni psy wieszają, z której inni korzystają...

Trzynasty z kolei zakład produkcyjny zwrócił się niedawno do łódzkiego Oddziału Towarzystwa Naukowego Organizacji i Kierownictwa, pod którego szyldem pracuje jeden z niezależnych w Polsce rzeczoznawców od dynamiki barw. Mgr T. Ordyński. Trzynasty z kolei projekt kolorowej i naukowej odnowy fabryki-sali skrzętał w Zakładach im. Buczka w Łodzi — jest w opracowaniu. W tym konkretnym wypadku dobór barw ma zmniejszyć odczuwanie hałasu.

Nie jesteśmy specjalistami, ale wierzymy nauce, która bądź co bądź ma zasługi w rozwoju ludzkości. Dlatego namawiamy dyrektorów szarych zakładów — jeżeli już zdecydowanie: „malować” malując naukowo. Poradzić się znawców.

Kobiety na przykład też malują się „naukowo”. Kosmetyka jak wiadomo ma swoje metody, którymi wywołuje pożądany efekt. Sprawdzacie go pewnie niekiedy — między jedną, a drugą konkurencją — na sobie...

Dopuszczając dynamikę barw do głosu, a właściwie do oczu. Dodanie wyników — mruwane.

Z

SADU

Oskarżenia w procesie o przywłaszczenie ponad 300 tys. złotych w Zakładach Przemysłu Dzierżawskiego im. Findera zabawiali się często w godzinach służbowych. Po wypieku odpowiedniej dawki alkoholu, urządzali w biurze różne gry. M. in. grywali w „szlachetniaka”, czy jak kto woli w „salonowca”.

A może czynili to celowo, by uodpornić szlachetną część ciała przed przykrymi skutkami długoletniej „odsiadki”?

No cóż, w każdym działaniu tkwi metoda.

Piękne dziewczęta na łamy „Odgłosów”



Fot. A. Kobyliński

Wypadki chodzą po...

Aniśmy się spostrzegli, jak wkroczyliśmy na drogę wielkiej motoryzacji. I jeśli ilość pojazdów mechanicznych i lokomotywy możemy zaimponować, to ilość wypadków drogowych nie stawia nas bynajmniej w ogniu europejskim.

Oto statystyka wypadków drogowych województwa łódzkiego (bez m. Łodzi). W ciągu 9 miesięcy 1961 r. (wrzesień-wrzesień) zdarzyło się 899 wypadków, w których zostało zabitych 95 osób (w tym 23 dzieci). W analogicznym okresie 1960 r. było 1019 wypadków, zginęło w nich 69 osób. (Dla porównania: w r. 1952 — 320 wypadków (44 osoby zabite), w r. 1960 — 1149 (105 osób zabitych)).

Najwięcej wypadków notuje się w miastach i osiedlach. Terytorialnie „przoduje” powiat łódzki (95 wypadków), dalej idą miasto i powiat Piotrków Trybunalski, 3 pow. sieradzki, 4 kutnowski, 5 łaski, 6 łowicki; najmniej wypadków było w powiecie wierzbowski (9).

Najbardziej pechowymi są dni przedświąteczne, świąteczne i poświąteczne; godziny 15-18.

Najczęstszą przyczyną wypadków było nieprzestrzeganie przepisów (88 wypadków, 15 osób zabitych).

Kto powoduje wypadki? Na pierwszym miejscu idą motocykliści — 287 wypadków (52 ofiary śmiertelne),

2. kierowcy samochodów ciężarowych — 174 wypadki (12 ofiary śmiertelne),

3. kierowcy samochodów osobowych — 161 wypadków (7 ofiar śmiertelnych),

4. kierowcy autobusów,

5. kierowcy ciągników,

6. rowerzyści,

7. piesi.

Prowadzący pojazd w stanie nietrzeźwym spowodowali wypadki:

1. motocykliści (54 wypadki),

2. kierowcy samochodów (32 wypadki),

3. woźnice.

W ciągu opisywanego okresu (9 miesięcy 1961 r.) organa Milicji Obywatelskiej zatrzymały 507 pojazdów, prowadzonych przez osoby będące w stanie nietrzeźwym.

Statystyka, która wstrząsa i nie wymaga komentarzy.

Skarg mniej, ale wciąż wiele

W okresie I półrocza 1961 do rad zakładowych łódzkich fabryk branży włókienniczej, odzieżowej i skórzanej napłynęło 4.108 skarg od pracowników. Najwięcej, bo blisko 900, dotyczyło spraw zwolnienia z pracy. Wśród dalszych skarg, związanych bezpośrednio z miejscem pracy, dominują sprawy niewłaściwych norm i płac, podziału funduszu zakładowego oraz urlopowo-wczasowe. Dalsze miejsca zajmują kwestie bhp i odszkodowań za wypadki podczas pracy.

Skarg wskazują chyba wyraźnie na punkty „niewrażliwe” w stosunkach pracodawca-pracownik, na luki w obowiązujących przepisach, lub w ich realizacji.

Bezpośrednio do Zarządu Okręgu Związku Włókiennarzy (Łódź-miasto) napłynęło w okresie od 1 stycznia do 30 września br. 646 skarg. I tu również w odpowiednich proporcjach problemy ułożyły się w takiej kolejności, jak w radach zakładowych.

Z sumy 4.754 skarg załatwiono pozytywnie 3.561. W porównaniu z rokiem ubiegłym liczba skarg jest niższa o 10 proc. Choć mniej, bez wątpienia jest ich wciąż jeszcze wiele, żeby nie powiedzieć: zbyt wiele.

Kropelka i ocean

Kropelką jest stan ilościowy łódzkiego chałupnictwa zaś oceanem zapotrzebowanie łódzian na różnego rodzaju usługi nie wymagające, notabene, kwalifikacji i doskonale nadające się do wykonania w domu.

Ocean jednak szumi od lat a mała kropelka jest stale kropelką i rzecz jasna nie może zmierzyć się z oceaniczną wielkością.

A że w porównaniu tym nie ma znów tak wiele przesady świadczą dane Wydziału Statystycznego Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi. Według materiałów przygotowanych na dzień 31 sierpnia br. w Łodzi pracuje 4.258 chałupników, przy czym ołbrzymia większość wykonuje prace typu produkcyjnego, a nie usługowego.

Najwięcej chałupników zrzesza Łódzki Związek Spółdzielczości Pracy (1.237 osób), Przeds. Handlu Art. Galant. (1.398 osób) i Okręgowy Związek Spółdzielni Inwalidów (778 osób).

Po staremu jednak, jeśli się chce np. mieć całą koszulę trzeba zacerować ją w domu, bo usługi tego typu wciąż jeszcze nie mogą doczekać się zleceniodawcy. Choć od kilku miesięcy 220 kobiet zarejestrowanych w Wydziale Zatrudnienia poszukuje właśnie pracy tego rodzaju.

Z księgi dłużników

Na koniec września br. zaległości prywatnych odbiorców w opłatach za światło i gaz wynosiły w Łodzi 377 tysięcy złotych.

Co miesiąc, na skutek nie uregulowania należności w terminie, wylęca się liczniki w około 750 mieszkaniach. Większość wylęceń to wypadki sporadyczne, jest wszakże wyraźna grupa „recydywistów” w liczbie około 200 osób. Ci nie placą z zasady, samowolnie włączają liczniki, stale przysparzają kłopotów. Opłaty za światło i gaz są w Łodzi wręcz symboliczne — niższe niż w całym kraju. (np. kilowat — 24 grosze wobec 39 groszy w innych rejonach Polski). Należałoby więc, zamiast materialnych, szukać psychologicznych przyczyn nalogowego nieplacenia rachunków. Czyżby wspomniani recydywiści sądzili, że żyją już w komunizmie, gdzie usługi komunalne będą bezpłatne?